J. ŻUŁAWSKI

POEZJE

POEZJE

III.

ODBITO W DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE

JERZY ŻUŁAWSKI

POEZJE

TOM III.

WYDANO W ROKU MCMVIII, NAKŁAD KSIĘGARNI
H. ALTENBERGA WE LWOWIE — W WARSZAWIE
E. WENDE I SPÓŁKA (T. HIŻ i A. TURKUŁ)

Z JADŻUR-WEDY.

1897.

Na początku nie było bytu ni niebytu,
ziemi, nieba nie było, światła ni ciemności,
gwiazd ni słońca, dnia, nocy, zachodu ni świtu,
nie było śmierci, życia, czasu ni wieczności,
ni przypadku, ni musu, szczęścia ni cierpienia —
nic nie było: przestrzeni, zmiany ani ruchu,
ani wód, ni przepaści, ni wiatrów westchnienia —,
ON był tylko i przyszłe światy trzymał w duchu
nierozeznalne jeszcze przed Swojem obliczem;
byt był marą, niebytem świat, a wieczność — chwilką;
ON był wszystkiem: przestrzenią i czasem i — niczem:
nic krom Niego nie było — ON był jeden tylko.

A gdy spojrzał w krąg Siebie i nic nie obaczył,
ni przedmiotów dla myśli ani żadnych tam:
zląkł się pustki — i strach Go w nicościach obsaczył.

Przeto człowiek się także lęka, gdy jest sam.

I pomyślał On wtedy: Czegóż strach Mnie zbiera?
wszak nic niema poza mną, nademną ni w dole,
jeno nicość bezdenna, jeno pustka szczera,
cóż jest zatem, co trwożyć ma — w niebytu kole?

Tak pomyślał i zrzucił strach ze Swego ducha,
jak rzecz marną, co wyszła z za nicości bram,
lecz był smutny, bo wokół pustka była głucha.

Przeto człowiek jest także smutny, gdy jest sam.

Więc powstało życzenie w głębi Jego serca,
by świat stworzyć i tęczą wysnuć go ze Siebie:
nieb zapragnął, mórz, wichrów, gór i łąk kobierca,
słońca, nocy i mlecznych dróg na czarnem niebie.

I tak czując, że czynem z smutku się uleczy,
jął świat rzucać na próżnię, jak obraz na płótno,
a wola Jego była nasieniem wszechrzeczy.

Przeto człowiek też wtedy tworzy, gdy mu smutno.

Świat stwarzając, wyrzucał go ze Swych wnętrzności,
w barw akordy i w tęczę dźwięków się rozstrzelił:
stworzył zmiany, ruch, życie i wbrew Swej jedności,
miljon istót znikomych duchem Swym obdzielił.

Lecz jak morze faliste w stukształtnym wszechświecie
rozlewając się, cierpiał On, duch twórczy, boży,
tak jak matka, gdy z łona wydziela swe dziecię.

Przeto człowiek też zawsze cierpi, kiedy tworzy...

ANANKE.

1898.

Łoskot światów trzaskanych słyszałam. I słońca
widziałam, które gasły. U nóg moich bogi
łkały, prosząc o litość. — Gdym skinęła, marły.
I znów inne wstawały przed mojem obliczem,
na słońcach nowych pędząc w przestworza bez końca.
I tętniły rydwany bogów przez te drogi,
które palcem srebrzyście wytknęłam. A karły
czciły bóstwa, co cieniem są dla mnie i niczem.
Wzniosę rękę i zwinę z niebios szlaki mleczne,
zgniotę światy płomienne, a inne wstecz rzucę,
zakreślając im nowe drogi skróś otchłani —
a nie oprze się żaden, gdy nań ściągnę palce.
Wszystko zmieniam i rządzę wszystkiem. Nie jest wieczne
nic, krom woli mej strasznej. Kędy twarz swą zwrócę,
wszystko słucha mnie, bogów i wszechświatów pani!
Tam na dole w wieczystej ścierają się walce
rozpasane żywioły, gryząc się wzajemnie,
lub powstając, by zerwać żelazne obręcze,

w które wszechświat okułam. Daremny wysiłek!
Słońc zbuntowanych tysiąc, sto zwichrzonych komet,
jak sto mieczy-piorunów, dziś raziło we mnie,
ciągnąc za sobą mlecznych dróg zwikłane tęcze...
Padły — a jam je z szaty strząsnęła jak pyłek
marny. Teraz posłuszne znowu pędzą do met
przezemnie wyznaczonych na czasów początku
a nie dościgłych nigdy. Spokój jest w przestworzu
Cisza taka bezmierna, jak ongi, przed wiekiem,
nim kazałam wstać bogom z martwego chaosu...
Nie! coś brzęczy! W najdalszym gdzieś nieba za-
kątku
tam — na marnej wysepce w tem bezbrzeżnem
morzu,
jakiś robak, co dumnie nazwał się człowiekiem —
mówi do mnie! Co? zdala nie rozróżnię głosu,
ale — zda się, że prosi, błaga, bym zmieniła
dla niego swe wyroki odwieczne... Znów cicho...
Może zczeznął twór marny? Nie! znowu skróś głuszy
słyszę głosik. Klnie teraz i podnosi pięście!
Jęk go zgłuszył mgławicy, co właśnie zrodziła
sto błyszczących słońc nowych, z których jedno lichą
tę wysepkę rozbije kiedyś. Znowu w uszy
brzęk mi wpada robaka. Chce, abym mu szczęście
dała, grożąc, że wojnę mi wyda i złamie
moc mą. Bawi mnie głos ten. Lecz słuchać nie mogę,

bo oto znowu dzikie zbuntowane bogi
na słońc grzbiety płomienne wsiadły; jak huragan
pędzą na mnie... Podnoszę wszechpotężne ramię
w ten wir bogów, słońc, światów, w łunę i pożogę...
i zmożone padają wszystkie pod me nogi,
skomląc w strachu, jak krnąbrny pies biczem ze-
smagan...

KSENOFANES.

1896.

Ἓν καὶ πᾶν...

Śpiewak, wygnaniec i pielgrzym bez ziemi,
starzec już siwy i już wiekiem zgięty,
w struny uderzam dłońmi słabnącemi
i z lutni starej strój dobywam święty —
a póki śmierć mych piersi nie oniemi,
ducha porwawszy w wieczności odmęty,
jak wiatr z jesiennych drzew rwie suchy listek:
Boga wieści ma pieśń — Jeden i Wszystek!

I z tem imieniem Boga na mych wargach
idę, ja starzec, na burze i deszcze;
ani mi straszny wicher, co w zatargach
z włosem mym siwym, pozostałym jeszcze
na skroni, igra, — ani jęczę w skargach
na los przeciwny, ja, co prawdę wieszczę,
pochodnie w błędów zapalając nocy —
zelżon, przeklęty, jak wszyscy prorocy!

Ziemię już całą zbiegłem stopą bosą;
skrzydło okrętu, bijąc wiatry, niosło

z wysep na wyspy skroń mą siwowłosą, —
a gdy już w piasek zaryło się wiosło,
laska mię wiodła — i krwi swojej rosą
barwiłem ziemię ostami porosłą:
szukałem ludzi, niosąc w wieszczym rymie
na miasta, wyspy, sioła — Boga imię!

Szedłem, nie bacząc, gdzie mnie wiedzie droga,
a kędym zaszedł, i pieśń zaszła ze mną,
niosąc, jak chmura grom, w swem łonie Boga!
I pieśń rzucała grom ten w tłuszczę ciemną,
a od piorunu szła na bogi trwoga,
stworzone ludzką fantazją nikczemną;
lecz lud nie pojął pieśni ani prawdy,
fałszywe bogi — pobite — czcząc zawdy.

Więc szedłem dalej, na ostatnie krańce
świata, aż morze mnie wstrzymało sine
i w tył rzuciło, bym znów, jak wygnańce,
deptał niewdzięcznych ludzi twardą glinę,
bo każdy dom miał niezdobyte szańce
dla mnie, co setną już zszedłem krainę,
z pieśnią od miejskich bram i z progów zagród
wygnan, choć za pieśń nie żądałem nagród.

Wyszedłem z domu przed laty młodzieńcem
na bój z bogami, a otom dziś stary,

a skroń ma żadnym nie jest zdobna wieńcem;
ludzie za pieśni i za prawdy dary
zuchwalcem zowią i zowią szaleńcem,
śmiech mi szyderczy niosąc miasto wiary;
lecz się nie skarżę, bom od nich bogatszy:
Boga poznałem i Bóg na mnie patrzy!

Czy spojrzę w górę na niebios przestworza,
czy spojrzę w krąg, na łąk i pól kobierce,
czy spojrzę dalej, na błękitne morza,
czy pieśni spytam, czy-li zajrzę w serce —
wszędzie mi widna jedna otchłań boża,
ten Bóg, którego zaparli bluźnierce,
bogów z swych błędów zlepiwszy i z gliny:
a wszak On wieczny, wszystek i jedyny!

A okrom Niego niema nic w wszechświecie:
On jest wszechświatem i On władcą świata!
Tysiąc przejawów w Nim — a On jest przecie
jeden, a ziemia jak stubarwna szata,
którą Niezmienny przemianami plecie, —
a kiedy zechce, to znowu rozpłata
ziemię i zniszczy i ślady zagładzi,
a inną, nową z siebie wyprowadzi!

A imię Jego nazwane nie będzie!
Człowiek Go czuje, lecz pojąć nie zdoła,

więc się pogrążył w nocy i trwa w błędzie,
niesłuchający głosu, co w nim woła,
że on jest cząstką Tego, co jest wszędzie,
więc mu nie wolno w pyle nurzyć czoła,
lecz mu wstępować trzeba ciągle w górę,
jak orłu w chmury — i jeszcze nad chmurę!...

Lecz ludzie na swe własne podobieństwo
zmyślili bogów pełnych ludzkich znamion:
w serca im wlali gniew i okrucieństwo,
moc ich zrównali z siłą ludzkich ramion —
i wyszukawszy dziwne nabożeństwo,
twór ten żądz własnych skazami poplamion
uczcili! — Czarny bóg jest Etyopa;
Traka — podobny do trackiego chłopa!

Za tego Boga, co się rozlał morzem,
rozsypał gwiezdną ulewą w lazurze,
tęczą rozbłysnął i potoka łożem
w kaskadach rzucił, gromem zagrzmiał w chmurze,
pieśnią na uściech mych zawisł i bożem
swem tchnieniem oczy człeka wzniósł ku górze
a serce skłonił do tajnych bezeden, —
co wszystko myśli i rządzi sam jeden:

za tego Boga, siwy starzec, walczę
przeciw fałszywych bogów marnym cieniom!

A wstają na mnie tłumy bałwochwalcze
i urągają mym natchnionym pieniom,
a zaś swe karki podłe i służalcze
gną przed bóstwami, które są kamieniom
martwym podobne, lub tyrynom możnym,
próżnym, okrutnym, mściwym i bezbożnym!

Bo słowo prawdy marne głuszą baśnie,
w których zmyślonych bogów poczet stawa,
bawi się, pije i prowadzi waśnie;
i dla tych tylko jest posłuch i sława,
którzy świat bawią, kłamiąc, — jakby właśnie
treścią żywota kłamstwo i zabawa
były, — proroków zaś, co prawdę wieszczą,
z miast wyganiają, krzywdzą i bezczeszczą!

Hańba, o! hańba wam, co wieszcze płomię
nosicie w piersi, a kalacie usta,
baśnie ludowi prawiąc, w których słomie
nie znaleść ziarna prawdy — bo jest pusta:
nic z niej na zasiew wieków! Ja was zgromię,
ja, co w świat z prawdą idę, a oszusta
maski nie wkładam, aby cieszyć gawiedź, —
lecz wołam pieśnią: Boże, Ty nas nawiedź!

Bezsilny gniew wasz i klątwa bezsilna
wobec tej prawdy, co brzmi z ust pieśniarza,

wobec nadziei, która — nieomylna —
sprawia, że krzyk go tłumu nie przeraża,
każąc mu wierzyć, że dziś nieprzychylna
dla prawdy ludzkość, u stóp jej ołtarza
padnie i wszystkich wyparłszy się bredni,
z Bogiem-Wszechświatem poczuje się w jedni!...

Pierś mi już stygnie i oko się mroczy,
wicher mi targa siwy włos z nad czoła,
osłabła stopa ledwo naprzód kroczy
i dłoń uderzyć w struny ledwo zdoła,
lecz idę naprzód, bo duch mię proroczy
porwał i wiedzie na miasta i sioła:
niesłuchanemu jeszcze wołać każe,
starcowi — walić starych bóstw ołtarze!

Wkrótce już spocznę, ja wędrowiec boży,
wkrótce już zamknę znużone powieki,
a wtedy burzy, co się dzisiaj sroży,
nawet mię odgłos nie dojdzie daleki, —
duch, jak łupinę, marne ciało złoży
i pójdzie zlać się już z Bogiem na wieki,
którego wieści mu cała natura:
morze swym szumem i gromami chmura.

Może ostatnią pieśń już dzisiaj nucę,
może ostatni raz napinam struny, —

ale zasiewu, który pieśnią rzucę,
nie zniszczą burze, nie spalą pioruny;
nowi prorocy prawdziwej nauce
wstaną i pójdą w świat z nad mojej truny —
i wołać będą tak, jak ja wołałem,
i cierpieć będą tak, jak ja cierpiałem!

Ale po wiekach — ich będzie zwycięstwo!
Czołom dzisiejszym odjęte wawrzyny
lud na ich grobach złoży, których — gęstwą
cierni zarosłych — szukać będą syny
tych, co proroków dziś biją, za męstwo
mając to sobie, by jadem swej śliny
kalać śpiewaków prawdy, boże sługi,
w światło lecący krwawy sznur i długi...

Więc chociaż kości moje proch przysiędzie,
choć pierś zamilknie i lutnia już zgłuchnie,
to tylko pieśni strzaskane narzędzie
jedno — lecz ona nie zaginie w próchnie!
Prawda z niej z czasem cały świat zdobędzie,
stokroć tłumiona, sto razy wybuchnie,
aż lud ją wreszcie uczci i zrozumie —
i święte będzie imię Boga w tłumie:

Jeden i Wszystek!

WEZWANIE.

1899.

PROROK MÓWI:

Widziałem Ciebie, gdyś szedł w zawierusze
po moją duszę;
widziałem Ciebie
w burzy i gniewie,
w błyskach na niebie,
w piorunów siewie —
widziałem Ciebie!

I darmo mózg mój w bezbrzeżnej swej pysze
w Twych nocy cisze
i w Twoje burze
rzuca swe wrzaski;
ja oczy mrużę
w strugach Twej łaski
i Tobie służę.

A trud i nędza zwie się moja służba
i wieczna tużba
za słońc promieniem,
bo iść mi trzeba

grudą a cieniem,
dobywać nieba
krwią i cierpieniem.

Lecz wiem, że idę proroków Twych drogą,
pustynią srogą:
jestem z lwów Judy,
idę na puszczę
krwią zmywać brudy,
przerażać tłuszczę
i działać cudy.

Wiatr mię Twój porwał, orkan i huragan!
Twym wichrem smagan
idę w bezdroża,
w głębiny ducha —
a moc Twa boża
nademną bucha
i lśni jak zorza!

W świętym Twojego natchnienia obłędzie
zawsze i wszędzie,
w wieczornej zorzy,
w burzy, co w gromy
strojna się sroży —
Tyś mi widomy,
o, Duchu Boży! —

MOJŻESZ.

1896.

Południe. Cisza. Niebo z wszystkich chmur odarte,
ciemno-błękitne, ogniem ziejące na ziemię —
na widnokręgu ciężko jak kopuła wsparte,
a powietrze pod niebem przycichło i drzemie...
Żaden powiew nie świeży południowych żarów,
żadne drzewo nie kradnie cieniem słońca blasku:
pustynia....
Pośród dzikich, palących obszarów
jakieś mrowie się rusza i wije na piasku:
Izraela narody! Lat czterdzieści mija,
jak warowne Egiptu porzucili grody,
idąc w ślad za Mojżeszem. Dzisiaj ich zabija
pragnienie! Mrą, wołając: O Jehowa! wody!
A Mojżesz, pustyń lew, milczy, zadumany...
Na pagórku piaszczystym stanął zdala ludu
i duma: »Dobry Pan! — lecz naród skalany
grzechem — czyż się ośmielę znowu błagać cudu?«
Ku ziemi spuścił wzrok — i brwi mu się zbiegły,
zaciśnięta, olbrzymia prawica zadrgała;

ćmy zwątpienia i rozpacz ducha mu obległy,
pobladł, — z piersi zdławionej prośba wyjść nie
chciała.
Pojrzał przed się. Jak okiem zasięgnąć — namioty,
a w namiotach śmierć mieszka. Spragnione wielbłądy
wśród ludzkich trupów leżą. Kędy błyszczy złoty
dach świątyni nad płaskie podniesiony lądy,
kilku mężów i niewiast i dzieci kilkoro
złamanemi głosami skarżą się Jehowie...
Odwrócił oczy. Dalej, jak śmierci jezioro,
piaski leżą gorące — a w nich ludu mrowie...
Krzyk go wyrwał z zadumy. Pojrzy, obok leży
trup kobiety, — mąż nad nią z obłąkanym wzrokiem
kąsa wargę spieczoną, — na trup matki świeży
wpełza dziecię i płacze. Ojciec suchem okiem
patrzy, — nie ma już wody i łez mu brakuje...
Lew pustyni się zatrząsł — i nagle mu łono
straszne wzdęło westchnienie, — i pierś mu faluje;
podniósł oczy ku niebu i twarzą wzburzoną
tajemnemi walkami patrzał w niebo długo;
podniósł ręce: A może! Bóg wysłucha może!
Oczy błyskawicowe łez nabiegły strugą,
drgnęła broda pierścienna i jęknął: O Boże!
Jęk się rozległ, jak grzmotu dalekiego echo;
czy Jehowa usłyszy? czy przyjdzie z pociechą?
Cisza...

Po strasznym dniu noc przyszła straszniejsza.
Nie spano. Czekał lud śmierci lub zbawienia.
Wciąż głucho. Nic a nic. Noc żaru nie zmniejsza,
ani cierpień nie chłodzi straszliwych pragnienia.
Mojżesz nie śpi i duma: »Więc już umrzeć przyjdzie?
Do ziemiż obiecanej nikt już z nas nie wnijdzie?
O Jehowa! Gdyś w krzaku ognistym się zjawił,
rozkazałeś, bym naród z niewoli wybawił,
obiecałeś mu bujną i rozkoszną ziemię;
zaliż dzisiaj już cofniesz swoje święte słowa,
zali oddasz zagładzie ukochane plemię?«
Zwątpił prorok! Promienna opadła mu głowa
na szeroką pierś ogniem rozpaczy przeżartą;
myśli, coraz posępniej pod wysokiem czołem
płynąc, bólem wierciły skroń na ręku wspartą...
Usnął...
Cisza dokoła. Z trupami pospołem
noc i żywych okryła tym samym całunem
śmiertelnym. —
Mojżesz śpi...
A wtem mu się zdało,
że niebo błysło nagle jaskrawym piorunem,
a w ognistych tęcz wieńcu, otoczony chwałą
siedmiu pułków anielskich zjawił się Jehowa

i nad śmierci padołem podniósłszy prawicę,
grzmiące jako orkany wypowiedział słowa:
»Jam jest Pan wasz i Bóg! Czystych wód krynicę
dam wam, byście Mym słowom wierzyli na zawsze;
wiedzcie, że serce Moje nad grzech wasz łaskawsze!
Powstań, sługo — i laską uderz w skał opoki,
a tryśnie źródło chłodne!« I zniknął. Znów głucha
cisza padła i znowu cień wrócił głęboki.
Mojżesz z twarzą na ziemi głosu Boga słucha;
choć już przebrzmiał, on jeszcze nie podnosi skroni—
i z wdzięcznością do serca mu weszło ździwienie,
że jeszcze Bóg wybawić zechce naród z toni
śmiertelnej, naród, który święte sprzymierzenie
tyle razy pokalał.

Świt już wstawał szary,
niebo było pogodne, bez chmurki — jak wczora.
Wkoło piaski i piaski. Dzikich hyen chmary,
które koło obozu zebrane z wieczora,
nocą wyły pogrzebne i złowieszcze pienia,
teraz wolno znikały. Mojżesz dumał długo,
a gdy wreszcie się zbudził z świętego uśpienia,
słońce wzeszło, witając ziemię świateł strugą.

»Wody! wody daj, wodzu!« Mojżesz powstał, patrzy:
tłum go dziki oblega, ponury jak wczora,
tylko więcej rozpaczny i na twarzach bladszy,

i pragnienia go tłoczy dzisiaj większa zmora.
»Wody! wody daj ustom — lub wróć nam krainę,
kędy stoły mięsiwem zastawneśmy mieli,
dzbany wody i wina! Patrz! dziś twarze sine,
i pragnienie nam wargi niegdyś krwiste bieli!
Wzrok nam osłabł i ręce udźwignąć nie mogą
laski, aby podporę dać zdrętwiałym nogom!
Po coś wywiódł nas tutaj? Nie na nasze prośby!
Król nas smagał, to prawda, — ciężka była praca,
lecz dostatek my mieli! Tyś śmiertelne groźby
rzucił w Egipt — i po co? By nas wywieść w puszczę,
w dziki obszar piaszczysty, skąd już nikt nie wraca,
kędy owoc nie rośnie, ani woda pluszcze?
Tyś nam kłamał! — i kłamał twym głosem Jehowa,
kiedy ziemię obiecał, co mlekiem i miodem
płynąc, miała być dla nas rozkoszy ogrodem!
Kędyż kraj ten? Przeklęta niech będzie twa głowa,
przeklęte oczy, język i usta i wargi,
dłoń przeklęta, co naprzód wyciągnięta zawsze
na losy nas pędziła coraz gorsze — krwawsze,
i wzbraniała nam nawet słusznej w bolach skargi!«
Tłum się ruszył, kościste wychudłe ramiona
dzierżąc w górę i blade gniewem krzywiąc twarze,
krzyknął dziko: »Przeklęty!«
Po całym obszarze
pustyń głos ten przeleciał, — gdzieś na kresach kona.

Czarnowłose szkielety o zapadłem łonie
i pożółkłych policzkach z ceglastym rumieńcem,
z suchą wargą i z okiem, w którem rozpacz płonie,
otoczyły Mojżesza ciasnym ramion wieńcem;
a w ramionach tych były pomarłe dziecięta
i kobiety nieżywe, których pierś zeschnięta,
nim skonały z pragnienia, dzieci truła jadem.
»Tyś je pobił!« I wściekłość szła tym tłumem
bladym,
jako burza puszczami chodzi. Mojżesz spojrzał —
i kamieniem prawice uzbrojone dojrzał,
pełne śmierci dla siebie, — i nagle mu wzgarda
razem z gniewem wykwitła na twarzy płomieniem,
pierś się głosem wydęła, bezlitosna, twarda, —
krzyknął: »Precz stąd! niegodni!« — i ręki skinie-
niem,
groźne tłumy uciszył. »Komuż wy grozicie?
Mocy Boga, co we mnie obrała mieszkanie?
O, wy ślepi! Wy Bogu i Panu bluźnicie,
który słuszne za grzechy zsyła wam karanie!
On was wywiódł z Egiptu, rozwarł morza głębie,
pożywienie dał waszej pełnej bluźnierstw gębie —
a wy za to w podzięce bunty Mu niesiecie?
wy prorokom bluźnicie? On litości źródło,
więc był dla was cierpliwy, — lecz kiedy wy-
chłódło

serce wasze dla Niego, dzisiaj snadź pomrzecie,
boście miary sprosności dopełnili słowy,
które jako szarańcza zaszły do Jehowy!
Oto mówił Przedwieczny dzisiaj do mnie, sługi:
Wody chłodnej i czystej dam ludowi strugi; —
ale grzech wasz ostatni zmroził boże serce:
niema źródła ni życia dla was, wy bluźnierce! —
Wy litości ni łaski niegodni! niegodni!
więc umrzyjcie spragnieni i umrzyjcie głodni!«

Jak piorunem rażony słuchał naród cały
słów proroka. Gdy skończył, wielka cisza legła...
Potem nagle, jak morza wzburzonego wały,
lud się ruszył — i z piersi tysiąca wybiegła
prośba pełna rozpaczy i śmiertelnej trwogi:
»Ratuj, ratuj nas, wodzu! My spragnieni, mrący,
pójdziem w worach, w popiele pod świątyni progi
łzami żebrać litości i żebrać ochłody!
Myśmy winni! — o, przebacz! niech ten żar gorący,
który trzewia nam pali, zgaśnie! Wody! wody!«
Mojżesz słuchał — i litość gniew spędziła z czoła;
podniósł głowę i okiem sokolem dokoła
powiódł — i rękę drżącą podniósł ponad tłumem:
»Oto laska w mej ręce! Odwiecznym rozumem
Pan tę rękę narzędziem zrobił swojej woli:
jeśli grzech wam daruje i zechce z niedoli

was wybawić, — to święte da mi moce swoje,
bym wam laską ze skały wywiódł wody zdroje!
Lecz czy zechce?...«

Gdzie czarna wznosi się opoka,
stanął Mojżesz i twarz swą promieńmi rogatą
zwrócił w niebo, a potem błyskawicą oka
tłuszczę ludu ogarnął w nadzieję bogatą
i milczącą trwożliwie... —

Uderzył o skałę, —
wody niema! —

Lud zadrżał i zląkł się i czeka...
Mojżesz laskę znów wznosi, — ale jeszcze zwleka:
strach mu znowu uderzyć. Oto plemię całe
już umiera; a jeśli Pan mu dać nie raczy
wody, jeżeli bluźnierstw świeżych nie przebaczy?
Uderzył!... Wody niema!

Uderzył raz trzeci:
drży skała, — ludu krzyk, struga wody leci...

* * *

Na szczycie góry wielkiej rzekł Pan do Mojżesza:
»Oto ziemia przed tobą, którą ludu rzesza
na dziedzictwo posiędzie. Lecz, zaprawdę, noga
twoja na niej nie stanie! Jam przebaczył błędy
ciemnych; lecz ty, coś widział twarzą w twarz Mnie,
Boga,

ty, którego Jam wspierał i zawsze i wszędy,
iżeś zgrzeszył — nie wnijdziesz do ziemi wraz
z ludem
twoim. Którzy wodzami są z Mego ramienia,
niech nie wątpią! Ma wola nigdy się nie zmienia;
więc niech wierzą, że wesprę ich w potrzebie cu-
dem!
Iżeś zwątpił, więc umrzesz. Świat i niebo miną,
ale Jam jest żyw wiecznie, Me słowa nie zginą!«

WIDZENIA JECHESKIELOWE.

PRZEKŁAD.

1902.

WIDZENIE WOZU.

R. I. w. 1—28

Stało się tedy ponad Kebar rzeką,
że ja, Jecheskiel, syn Buzy, kapłana —
w Chaldei, kędy łzy wygnańców cieką,
widziałem niebios podniesione wieko
i przychodzącą straszną zjawę Pana.

A było piąte lato, miesiąc czwarty,
odkąd wraz z ludem poszedł dźwigać pęta
Jojachin władca, ziemi swej wydarty:
wtedy nademną strop niebios rozwarty
i Przedwiecznego moc się stała święta.

Zawył z północy huragan, gnąc dęby,
a w nawałnicy przyszła chmura sroga
i tuman ognia: — wkrąg błyskawic zęby
darły obłoków pokrwawione kłęby, —
w środku: rdzeń ognia, złoty blask, pożoga.

A otom uźrzał z ogniowego rdzenia
cztery postacie jakoby człowiecze,

zaś miedzi skrzącej podobne z weźrzenia:
czworgiem oblicza każda z nich z płomienia
patrzy i płomień czworgiem skrzydeł siecze.

Udo ich proste, jako słup toczony,
a stopa krągła jako stopa wołu, —
i każda postać, z czterema ramiony,
cztery oblicza w cztery zwraca strony;
skrzydła — dwa w górze ma, dwa zasię z dołu.

Wzniesione — wzajem łączą się u góry,
dolne, złożone, z obojego boku
ciała ich kryją szerokiemi pióry. —
Idąc, wprost twarzy idą, jak pod sznury,
ni się zwracają, odmieniając kroku.

A to jest obraz ich twarzy prawdziwy:
każda wprzód patrzy oczyma ludzkiemi,
z prawiej lwia paszcza wśród płomiennej grzywy,
z lewej łeb wołu, a orli dziób krzywy
z tyłu tych czworga, wzniesiony nad niemi.

Skrzydła rozwite nad twarzami w górze,
zaś dwa złożone z obojego boku.
Tam, kędy wioną straszne ducha burze,
idą postacie — wprost przed siebie, w chmurze
ognia, a idąc nie zwracają kroku.

Żar i zarzewie — oto ich weźrzenie,
jako pochodnia, gdy wielce rozgorze.
A przebiegały pośród nich płomienie, —
wkrąg jasność, z niej zaś szło błyskawic lśnienie;
jak błyskawica szły zwierzęta boże.

A kiedym poźrzał, zoczyłem na przodzie
każdej postaci jasną koła zjawę:
barwą podobne zmiennej morskiej wodzie,
a jedno koło w drugiego obwodzie, —
cztery — a wszystkie jak bursztyn jaskrawe.

I szły te koła w cztery świata strony,
ni się zwracały, tocząc się po niebie
na sprych promieniach wspaniałemi dzwony,
a zaś ich obwód cały wysadzony
oczami; — idąc, szły prosto przed siebie.

Dokąd zwierzęta boże szły, tam z niemi
dążyły koła, — tam, gdzie wiać ochota
przyszła duchowi. Szły więc z idącemi,
a zaś się wespół wznosiły od ziemi:
zaiste, w kołach tych był duch żywota.

Gdy się ruszały ich postacie zwierzchnie,
i same koła sunęły świetliste;
wraz z niemi stały w blasku, co nie mierzchnie,

lub się wznosiły wespół nad powierzchnię:
był duch żywota w kołach tych zaiste.

Zasię nad zwierząt głowami u góry
jakoby kryształ blasku i rozpięte
w strasznej jasności sklepienia lazury, —
a pod sklepieniem, ognistemi pióry
złączone, skrzydła — prosto wyciągnięte.

A szum tych skrzydeł, gdy szła ona zjawa,
jakoby łoskot strasznego potopu,
boży grzmot, tłumu zgiełk, obozu wrzawa —
tak biły wicher. Lecz się cisza stawa,
gdy się wstrzymają pod jasnością stropu.

Bo kiedy zagrzmiał głos na utwierdzeniu,
które na głowach zwierząt się opiera,
posłuszne, w wielkiem stanęły milczeniu,
spuściwszy skrzydła, — a w błyskawic lśnieniu
nad niemi w górze jaśń słoneczna szczera.

I w tej jasności nad zwierząt głowami
uźrzałem niby zjawisko stolicy,
niby z szafiru tron, co oczy mami
ogromnych blasków promiennych snopami;
na tronie — ludzka postać w błyskawicy.

Uźrzałem: jakby widmo chryzolitu;
jakoby ogień chodzący wokoło;
od biódr poniżej: jasnoście błękitu
i skier tumany; od biódr aż do szczytu
głowy: blask ognia — jarkie słońca czoło.

Jak tęcza świetna, słońcem malowana,
kiedy w dzień dżdżysty błyśnie nad obłokiem.
takowa jasność biła wkrąg świetlana —
a toć był obraz strasznej Chwały Pana!

Na twarz upadłem, rażon tym widokiem.

WIDZENIE KSIĘGI.

R. II. w. 1—10, R. III. w. 1—3.

Tedy słyszałem głos, co grzmiał tajemnie
z pośrodka zjawy: Wstań! chcę mówić z tobą,
synu człowieczy! — Wraz duch wstąpił we mnie,
wzmocnił me nogi, starł z mych oczu ciemnię —
i rzekącego słyszałem nad sobą:

Synu człowieczy! Oto ja ślę ciebie
do Izraela, do mej krnąbrnej gminy,
co się zaprzała Mnie, Boga na niebie;
jako ich ojce, na Mym wzrosłe chlebie,
tak są odstępne aż po dziś-dzień syny!

Nieukrócony to lud i oporny,
któremu ciebie posyłam w dzień trudu,
byś rzekł: To mówi Pan! — Czy kto, przezorny,
posłucha, a kto zaniecha (przekorny
dom jest) — niech wiedzą: prorok był wśród ludu.

Ty się nie strachaj, nie bój się ich mowy:
pośród niedźwiadków mieszkasz od tej pory,

a zaś posłaniem twojem kierz cierniowy, —
lecz w ich obliczu nie drżyj, ani głowy
skłaniaj przed nimi: dom to jest przekory!

Kto snadź poniecha, czy ucha nakłoni
— boć dom przekorny! — z Mojem słowem bywaj,
niech słyszą! Zasię nie bądź ty, jak oni,
krnąbrny, lecz słuchaj, coć mówię: w Mej dłoni
twa strawa; usta otwarłszy, pożywaj!

Ano poźrzałem: dłoń ku mnie ściągniona,
w niej zwita księga, — a gdy się rozkłada
przed okiem mojem, widzę, każda strona
z wierzchu i z spodu pismem wypełniona,
a znaki pisma: jęk i płacz i biada!

I zaś Pan rzecze: Zjedz, synu człowieczy,
cokolwiek dajęć — i pójdź kazać ziemi
Izraelowej, co proroctwom przeczy! —
Otwarłem usta, i Pan w samej rzeczy
karmił mnie, sługę, księgami owemi.

A zaś: Zaprawdę — pry — napełnij łono,
żywot i trzewa i żył swych kanały
onych ksiąg gorzkich treścią przetrawioną —
toć Ja ci daję! — Zjadłem je, a ono
jako miód słodkie w uściech mych się zdały!

WIDZENIE SIEDMI MĘŻÓW.

R. VIII. w. 1—6, R. IX. w. 1—11.

Uźrzałem postać — niby chryzolitu
widmo, jak płomień chodzący wokoło;
od biódr poniżej — jasnoście błękitu
i skier tumany: od biódr aż do szczytu
głowy — blask ognia, a w nim słońca czoło.

A oto jakby widmo skrzącej dłonie
wraz mnie chwyciło za głowy kędzierze
i duch mnie poniósł przez powietrzne tonie
pomiędzy niebem a ziemią ku stronie,
gdzie Jeruzalem wznosi swoje wieże.

A podle brony, co na północ idzie,
gniew wzbudzający bałwan stoi ninie
ku hańbie ludu i bożej ohydzie;
nade mną chwała Pańska w takim widzie,
jakom ją wprzódy uźrzał na równinie.

I rzekł Pan do mnie: Wznieś ano źrenice
i patrz na drogę! I oto mi widny,

kiedym wzniósł oczy na Pańską świątnicę,
podle ołtarza u wstępu ulice
bałwan jątrzący i nader bezwstydny.

I rzekł Pan do mnie; O, synu człowieczy!
widzisz, co czynią? Lud Moje najświętsze
miejsce skalawszy, przymierze kaleczy,
abym stąd odszedł i puścił go z pieczy;
wszelakoż zbrodnie pełnią jeszcze więtsze!

I głosem wielkim, jak potężne grzmoty,
Pan począł wołać (zmartwiałem od lęku):
Sam, o, siepacze Moi, do roboty!
bo nawiedzenia przyszedł dzień na złoty
gród Jeruzalem, — pójdźcie! z mieczem w ręku!

I sześci mężów przyszli na głos Pana,
z mieczami wszytcy, — a siódmy w ich rzędzie
stanął pośrodku, kędy jest miedziana
ołtarza stołba, — szata na nim lniana
a zaś u bioder pisarskie narzędzie.

I z cherubiego wozu Pańska Chwała
spłynęła w żrących błyskawic potoku
do wrót świątyni i męża przyzwała,
na którym była lniana szata biała
a zaś pisarskie naczynie u boku.

I rzekł Pan tedy: Idź skróś Jeruzalem
i naznacz znakiem tych, co wśród wzdychania
nad tą ohydą drą swe szaty z żalem;
a wy w trop za nim, — lasu mego drwalem
bądźcie a rąbcie wkrąg bez zmiłowania!

Starca, młodzieńca, niewiastę i dziecię —
wybijcie wszystko, wybijcie do nogi,
kromia kto znak Mój będzie miał na grzbiecie, —
a od świątyni Mojej rozpoczniecie
rzeź, niechaj spłyną krwią sienie i progi!

Tak rozpoczęli oną pracę krwawą
od starszych ludu poprzed Pańskim domem.
A Pan rzekł do nich: Kładźcie wszystko ławą,
splugawcie dom Mój trupami a żwawo!
I oni wyszli, bijąc w mieście gromem.

A gdy skończyli wreszcie zabijanie,
ja sam zostałem i padłem i z żalem
wołałem: Biada, biada, biada, Panie!
wytracisz lud Twój wszystek, nie ostanie
nikt, gdy wylejesz gniew na Jeruzalem!

A Pan mi rzecze: Bez miary, bez miary
są grzechy ludu, co dom Mój ohydzi!
Oto kraina do krwi pełnej czary

podobna, miasto jest przybytkiem kary,
iże mówili: Odszedł Pan, nie widzi!

Więc nie sfolguję, aże ich przewiny
oddam z nawiązką dobrze wymierzoną,
by Mnie poznały izraelskie syny!
A oto — na trup pokazując siny —
rzekł mąż w gźle lnianem: Jakoś rzekł, spełniono.

WIDZENIE POLA KOŚCI.

R. XXXVII. w. 1—14.

Tedy mnie tknęła Pańska moc i boże
wichry rzuciły mnie, jak lotną strzałę,
na wielkie, kośćmi zasłane bezdroże.
I duch mię obwiódł wkrąg po tym ugorze —
a kości wszędy, suche wielce, białe...

I rzekł Pan do mnie: Co myślisz, azali
może żyć owa sucha kość i mnoga?
Jam rzekł: Ty, Panie, wiesz! — On zasię dalej:
Prorokuj białej piszczelów tych fali,
mów: Kości suche! słyszcie słowo Boga!

To mówi Pan wasz: Natchnę was żywotem,
sprawię, że mięso znów na was poroście,
żyły rozepnę i ścięgna, a potem
powlokę skórą i dam dech z powrotem,
byście wiedziały, że Ja Pan wasz, koście!

Prorokowałem wedle rozkazania —
i oto wszczął się wielki szum po stepie,

gdym prorokował, łoskot, chrzęst wstawania:
wnet kość do kości sunie się i skłania,
każda w swym stawie siada i czerepie.

I otom widział, jako je pokryły
ścięgna, i mięsem kość porosła sucha,
i zatętniły krwią czerwone żyły,
i skórą ciała obleczone były —
ale nie miały do tej pory ducha.

Zaś Pan rzekł do mnie: Prorokuj duchowi,
prorokuj, synu człowieczy, prawdziwie,
niechaj twój język wolę Mą wysłowi:
Od czterech wiatrów w ciało, co się mrowi
tutaj — wioń, duchu; niech wstanie a żywie!

Jako rozkazał, tedym prorokował —
i wnet duch powiał nad tę zżętą ściernię
i wstąpił w ciała leżące na pował:
jakoby wojsko, które naszykował
Pan, wstały tłumy, liczne niepomiernie.

A Pan zaś rzecze: Kości one suche,
synu człowieczy — dom to Izraela!
Oto się skarżą: Tracimy otuchę,
snadź nam już zginąć w oną zawieruchę,
co gęstym trupem naszym świat zaściela!

Prorokuj przeto: Mówi Pan nad Pany:
Otworzę groby wasze i w dzień cudu
na izraelskie was wywiodę łany,
a kiedy grób wasz będzie rozłamany,
doznacie, żem Ja jest Bóg wasz, — Mój ludu!

I kiedy ducha Mojego w was włożę,
i gdy was skrzepię, plemię dziś kalecze,
gdy na ojczystym odpocząć ugorze
dam wam — zaprawdę! poznacie w tej porze,
żem Ja powiedział i spełnił. — Pan rzecze.

Z KSIĄG IJOBA CIERPLIWEGO.

PRZEKŁAD

1902—3.

I.

R. III. w. 1 — 26.

Tedy otworzył Ijob usta, dniowi
złorzecząc swemu i mówił: Niech zginie
dzień, co mnie ojcom dał i noc, gdy owi

o niezrodzonej wyrzekli dziecinie:
począł się człowiek! Mrokiem niech się zaćmi
dzień ten i w bożej pamięci niech minie,

ani postanie wespół z swymi braćmi
w liczbie dni roku, ani się poczyta
w miesiącach, równo z nocą ową! Tać mi

z wszytkich nagorsza! Niech będzie zabyta,
niech ją klną smoka czciciele, co ganią
słońce, brzaskowi bluźniący, gdy świta;

wicher ciemności niechaj padnie na nią,
niechaj się burza śmiertelna rozsroży
i pożre gwiazdy po nad jej otchłanią;

czarność jej gorzką niechaj strach pomnoży
i wieczna dziennej jasności tęsknota,
a niechaj nigdy nie ogląda zorzy:

iż nie zamknęła wrót tego żywota,
który mnie nosił, ni oczu nie zwichła,
zanim im światłość pokazana złota!

Przecz nie umarłem w żywocie zarychła? —
stokroćby lepiej było dla mnie pono,
by pierś ma była w pierwszym płaczu ścichła!

Czemum był wzięty na matczyne łono,
czemu do życia spowity w pieluchy
i przecz mnie piersmi mlecznemi karmiono?

Byłbym snem swoim spoczywał już, głuchy
i królom równy a wielmożom świata,
co czczość budując, skarb zbierali kruchy, —

martwemu rówien płodowi, co zlata:
byłbych już niczem, jako niezrodzeni,
co nie widzieli światła! TAM się brata

wszystko! — Niezbożni TAM od trwóg zbawieni,
TAM spoczywają, których życie trudzi,
TAM są otwarte jeńcom drzwi więzieni,

ani ciemięzcy głos ich ze snu budzi:
mały i wielki TAM społem — i pana
nie zna niewolnik, najlichszy wśród ludzi!

Przecz więc nędznemu dzienna światłość dana —
a żywot, którzy są w serca żałobie,
którzy chcą śmierci — (zasię ta, czekana,

przyść się nie kwapi, choć jej w każdej dobie
z pragnieniem dusze wzywają!), a jeśli
grób wreszcie najdą, tak się cieszą w grobie,

jak gdyby kopiąc, wielki skarb naleźli — ?
albo-li którzy błądzą pośród cienia,
gdy się zawziąwszy Pan na nie rozeźli?

Wzdycham przed jadłem, które mi się zmienia
w piołun; me jęki tak spływają z serca,
jako wezbrane powodzie strumienia,

bo strach, któregom się lękał, przewierca
pierś mą, bo przyszła na mnie boleść sroga!
Aza krzyw Panu byłem lub bluźnierca?

azam się sądom nie poddawał Boga?
Spokojne miałem i czyste sumienie,
dróg prawdy zasię strzegła moja noga —

a oto przyszło na mnie uciśnienie!

II.

R. VII. w. 1 — 21.

Żywot człowieka na ziemi jest bojem
i są dni jego, jako dni najemne:
jako niewolnik, przyciśniony znojem

łaknie ochłody, jak najemnik, ziemne
prace pełniący, wzdycha do wieczora...
Tak jam miesiące trudów miał daremne

i gorzkie noce. Gdy snu przyszła pora,
mówiłem: Zasnę — a kiedyż wstać muszę,
bym znów boleścią napełnion, jak wczora,

wyglądał mroku? Otom na katusze
wydan, zgnilizną ciało me próchnieje,
skóra ma zeschła, własnym tchem się duszę!

A nie tak wartko czółno tkacz przedzieje,
jako dni moje minęły, o Panie!
do cna strawione zgoła bez nadzieje!

Pomnij, że żywot mój jest wiatru wianie,
i gdy się oko me zamknie w rozpaczy,
już się na dobro otwartem nie stanie!

Minę — a wtedy snadź mię nie obaczy
i nie wynajdzie źrenica niczyja,
ni Twoja nawet, choć mię szukać raczy!

Jako niszczeje obłok i przemija,
tak który zstąpi w dół, na śmierci wędę
złowion, nie weźmie pielgrzymiego kija,

aby powrócić zaś na swoją grzędę,
ni znów go miejsce jego uzna kiedy!
Przetoż nie wzbronię ustom mym, lecz będę

krzyczeć z otchłani mojej gorzkiej biedy:
Zalim ja morze abo smok, żeś ciemnię
strażą mi stawił? Chociaż rzekę tedy:

Łoże odejmie boleść mą odemnie
i najdę ulgę w ciszy mej komory,
ze smutnem sercem swem mówiąc tajemnie:

Ty we snach jeszcze ześlesz na mnie zmory
i strzęsiesz strachem, schłostasz widzeń biczem —
aż śmierci łaknie duch mój, umrzeć skory...

Żyć już nie pragnę — odstąp mię! Wszak niczem
są Ci dni moje — marność, ból a męka!
Cóż Ci jest człowiek, że przed swem obliczem

w równi go stawiasz, iż go chuć Twa nęka?
Oto zarychła przychodzisz ku niemu —
i wnet zaciąży nad nim Twoja ręka!

Przecz nie ostawisz mię w pokoju? czemu
nie pofolgujesz, bym choć przełknął ślinę?
Jeżelim zgrzeszył — i cóż mnie nędznemu

czynić wbrew Tobie, stróżu ludzi? Ginę,
lecz czemuś sprawił, żem Ci sprzeczny, Boże,
czemuś, jak brzemię, zwalił na mnie winę?

Zali Twa wszechmoc grzechu zmyć nie może,
ani uczynić, abym nie trwał w błędzie?
Oto się w prochu jeszcze dziś położę, —

wspomnisz mię jutro, lecz mnie już nie będzie!...

III.

R. IX. w. 1 — 35.

Zaś Ijob mówił: Mam to za prawdziwą,
iż przeciw Bogu nikt nie zdzierży prawa!
Kto się z Nim spierać zechce — jako żywo!

iż na przepadłe z góry rzecz swą dawa,
na tysiąc zdolny ledwie odrzec jedno!
Mądry i silny On ci jest! — napawa

strachem swych wrogów, iż zamilkłszy, bledną, —
On, co wynosi swą potęgą góry
i nim spostrzegą, strąca znów w bezedno

w zapalczywości swojej strasznej, — który
ziemię uderza, wstrząsa jej kolumny
i lądy z miejsca przesuwa, jak chmury,

śle grom, gdzie zechce, puszcza wicher szumny
i przykazuje słońcu — a nie wschodzi,
gwiazd pod swą pieczęć rój zamyka tłumny,

nieba rozciąga sam i po powodzi
morskich bałwanów z burzą się przechadza,
zasię niebieskich znaków siła rodzi:

Wozu siedmiogwiazd na stropie osadza,
Kosy i Baby i Zwierzyniec słońca!
Nieogarnione rzeczy Jego władza

czyni a wielkie — i dziwy bez końca,
których nie ujmiesz liczby ni przyczyny,
choć w ślad dzieł Jego wyślesz myśl za gońca!

Jeżeli przyjdzie do mnie tej godziny:
ja Go nie uźrzę, — odejdzie, a przecie
wiedzieć nie będę. Jeśli z chmur wyżyny

zechce zapytać znagła, — gdzież na świecie,
kto Mu odpowie, albo się poważy
rzec: Przecz tak czynisz? On jest Bóg! — a zmiecie

wichr Jego gniewu, skoro się rozżarzy,
w pył najdumniejszych władnych panów ziemi!
Aza ja jestem z równych Mu mocarzy,

bym odpowiadać mógł Mu słowy memi?
I chociaż słuszność po mej stronie będzie,
to przemoc Jego język mój oniemi —

i miast się spierać, prosić muszę Sędzię!
Zaprawdę! jeśli mnie nawet wysłucha,
nie wierzę, iżby słyszał me orędzie!

bo oto zetrze mnie jak zawierucha,
rozmnoży rany moje bez powodu
ni odpocznienia dopuści dla ducha,

owszem gorzkością napełni, gdy z głodu
jak zwierz wyć będę! Komu siła płaci:
On namocniejszy! — kto szuka dowodu

prawości sądu: któryż z moich braci
śmie przeciw Stwórcy świadczyć za stworzeniem?
Jeśli się zechcę bronić sam: głos straci

język mój z trwogi, — własnych ust milczeniem
będę potępion! — Jeśli się okaże
i tak, że z czystem tu stawam sumnieniem:

On mi dowiedzie, żem winien i skarze!
Chociam jest prawy — nie zdołam swej duszy
zbawić — i życie obmierznie jej wraże...

To jest, com mówił: Jego dłoń rozkruszy
tak niezbożniki, jak i bogobojne!
Jeżeli trzeba Mu ludzkiej katuszy —

niechaj zabije! lecz razy śląc hojne,
niech się nie śmieje z niewinnego kaźni!
Zło ziemią władnąc, wkrąg zażega wojnę:

niemasz już sądu, prawa ni bojaźni, —
a jeśli nie On, któż jest rządcą świata?
Od zawodnika dni me zbiegły raźniej

a nie widziały dobra! — jak skrzydlata
gromada łodzi, co wiozą owoce,
przeszły, jak orzeł, co za żerem wzlata...

Gdy mówię: Zmilknę, zbiorę wszystkie moce
i odmieniwszy lica, krzyk ten zdławię:
dusza ma w bólu jak zwierz się szamoce!

Pilniem strzegł czynów swych w ciągłej obawie,
iżbym nie zgrzeszył, wiedząc, żeś jest mściwy;
a jeśli w oczach Twych i tak nieprawie

żyłem, to na cóż trud ten uciążliwy?
Choćbym się obmył w wód najczystszych zdroju,
iżby me dłonie śklniły jak śnieg żywy:

przecież w plugawym unurzasz mnie gnoju,
aż się mym szatom obrzydliwy zrobię!
Bo nie człekowi w tym nierównym boju

mam dostać, ani podobnemu sobie,
któryby razem mógł być słuchan ze mną!
i niemasz, ktoby mógł tu strony obie

karać jednako, lub dłoń swą rozjemną
między nas włożyć! Ale jeno krwawą
swą rózgę wstrzymaj i tę trwogę ciemną

zdejmij z mych oczu: niech język, obawą
związany, głos swój odzyszcze, — a dłonie
wzniósłszy, upomnę się o swoje prawo! —

lecz pókim w strachu, jakoż się obronię?

IV.

R. X. w. 1—22.

Dusza w żywocie mym już tęskni sobie,
więc choć się zwróci skarga bezowocna
przeciw mnie, — głos dam gorzkiej swej żałobie!

I rzekę Bogu: Nim mię zgubisz do cna,
pokaż mi sąd Twój i moje przewiny!
Azać się dobrem widzi, że wszechmocna

dłoń Twa, mnie gnębiąc zgoła bez przyczyny,
— którym jest przecie Twoich rąk robota, —
wspomaga radę niecnych tej godziny?

Aza Twe oczy z cielesnego błota
i widzieć będą tak, jak widzą człecze?
Są-li dni Twoje, jako dni żywota

ludzkiego? jako czas, co wnet uciecze?
Przecz szukasz na mnie zmazy i zakały,
śledząc zawistnie kroki me kalecze?

a chociam zawdy był o prawość dbały,
przecież nie wyrwie mnie nikt z Twych obierzy!
Ręce mnie Twoje całego zdziałały:

przecz mię roztrącasz? Wspomnij, żeś — jak w dzieży
chleb — tak umiesił mnie z gliny, a zasię
obrócisz w błoto. W łonie-ś mnie macierzy

jak mleko doił i w wyrocznym czasie
jak ser utworzył, skórą-ś mnie i mięsem
oblókł, nawiązał kość na ścięgien pasie —

i miłosiernie tym żywota kęsem
Tyś mnie obdarzył — i Twoja opieka
dech w moich płucach trzyma, odkąd rzęsę-m

wzniósł, aż dopóki nie spadnie powieka...
Acz owo taić w sercu swojem raczysz,
wiem, iż pamiętasz, coś zdziałał dla człeka!

gdy lepak zgrzeszy, Ty wnet uźrzysz! — a czyż
ścierpisz, ażeby wolen był od zmazy?
Biada mi, jeślim winien: nie przebaczysz!

biada, jeżelim czysty! — jak te płazy,
głowy od ziemie nie wzniosę dla wzgardy,
bo i tak srogie ześlesz na mnie razy!

Jak lew potęgą niezmożoną hardy,
złapisz mnie, dziwnie dręcząc, — w rannej porze
wznowisz swe świadki przeciwko mnie, — twardy

bicz Twego gniewu plecy me rozorze, —
jak grad nawalny spadną na mnie plagi!
Czemuś mnie wywiódł z łona matki? gorze!

obych był zniszczał, marny płód i nagi,
by mnie niczyje nie widziało oko!
Byłbym, jakobych nie był: krom uwagi

z łona wprost rzucon w mogiłę głęboką...
Wnet się ta trocha dni mych skończy przecie, —
sfolguj więc nieco! zlany ran posoką

niech choć opłaczę ból ten, co mnie gniecie,
zanim odejdę w tę krainę lutą,
z której nie wrócić mi już nigdy w świecie!

w krainę ciemną, śmierci mgłą zasnutą,
kędy jest nędzy ostateczna ścieżka,
krwawych łez człeczych dżdżem zroszona suto:

w ziemię, gdzie miasto ładu — przestrach mieszka!

V.

R. XIV. w. 1—22.

Człowiek z niewiasty zrodzon, czas nie długi
żywiąc, nędz wielą napełniony bywa.
Jako kwiat wschodzi i schnie, jak przez smugi

obłoków rzucon nikły cień — przepływa
i nie trwa dłużej, ponad chwilę jedną!
Aza się Tobie widzi rzecz godziwa,

abyś się wadził z istotą tak biedną
i sąd z nią czynił? Któż się ostać zdoła
czystym przed Twoją źrenicą wszechwiedną

z tych, co z nasienia nieczystego zgoła
poczęci? Jeden Ty jesteś na niebie!...
Krótko człek żywie pośród łez padoła,

liczba miesięcy jego jest u Ciebie:
Tyś mu granicę naznaczył od wieka,
której przestąpić nie lża na tej glebie!

Tedy maluczko odstąp od człowieka,
niechaj odpocznie, nim on dzień zadnieje,
którego oto jak najemnik czeka!

Drzewo ucięte jeszcze ma nadzieję,
że się odmieni i liść wyda młody;
chociaż się korzeń jego już starzeje

i próchno porze pień; na zapach wody
— skrzepione — bujną latorośl wypuści,
jakby je z nowa sadzono w ogrody!

Lecz tak się człowiek nie odnowi: juści
gdy zemrze, strawion i dokonan będzie!
Jakoby morze wyciekło z czeluści,

jakoby rzeka, powstrzymana w pędzie,
wyschła — tak człowiek, ległszy raz, nie wróci,
póki trwa niebo! nad grobu krawędzie

głowy nie wzniesie ani się ocuci!
Ktoby mi dał to, byś w otchłani raczył
skryć mię i schować, aż przeminie chuci

Twej zapalczywość? byś mi czas naznaczył,
gdy wspomnisz o mnie? Co mniemasz, czyż może
żyć znów, kto zmarłszy, o życiu zabaczył?

Ach! przez dni wszystkie czekam tu w pokorze,
póki się z nieszczęść mych potykam mrowiem,
abyś odmienił moją twarz, o Boże!

byś mnie zawołał, który Ci odpowiem,
i dziełu rąk Twych podał znów prawicę!
Jeślim jest grzeszny przed Tobą, — Tyś bowiem

zliczył me kroki i przejrzał na nice! —
odpuść! — Zamknąłeś me grzechy, jak w worze,
i w snop występki-ś związał... Krzesanice

potężnych turni w piarg się kruszą, — gorze!
skała swe miejsce zmienia i upada,
ląd spływa, zmyty do znaku przez morze,

głaz co najtwardszy z czasem się rozkłada —
i tak wytracasz w człeku ostatecznie
wszelką nadzieję!... Biada, biada, biada!

maluczkoś człeka utwierdził, by wiecznie
minął: wnet kruszysz go, niby dzban z gliny!
I czyli we czci chodząc, żyć bezpiecznie

będą, czy w hańbie ginąć jego syny:
on już nie pojmie! — a wszak jego ciało,
póki żyw, cierpi, i dusza — krom winy —

boleje, póki jeno tchu jej stało!

VI.

R. XXIII. w. 1—17.

A zaś rzekł Ijob: Ból mię dławi srodze
i już na tyla sam nie władnę sobą,
by narzekaniom swym powściągnąć wodze!

Obych to kędy mógł się potkać z Tobą
i na stolicy Twojej dopaść Ciebie,
by na sąd stanąć z gorzką swą żałobą!

Ja głosu krzywdy w sercu nie zagrzebię;
owszem! chcę słyszeć i zrozumieć słowa,
które odrzecze mi Sędzia na niebie!

Niech się przedemną w wielkość swą nie chowa,
ani straszliwą swą mocą mnie tłoczy:
po prawdzie niechaj będzie jego mowa,

a gdy się sprawa moja tak wytoczy —
snadnie zwyciężę! — Ale cóż uczynię!
Pójdę-li na wschód — nie uźrzą Go oczy!

pójdę na zachód — w obłokach mi zginie!
jeżeli w lewo — próżno! gdy na prawo —
nie bliższy Jego będę, jako ninie!

On lepak dobrze wie mą drogę krwawą
i tak doświadczył mnie, jak złoto w żarze, —
wiem, iżem ścieżki Jego strzegł z obawą

i dziś się jeszcze zboczyć z niej nie ważę,
śladem stóp Jego ostre depcąc piargi!
A choć mi tego nikto nie wykaże,

bych ważył lekce słowa Jego wargi
lub był w pełnieniu przykazań nie ścisły
(boć On jest jeden! i próżno z Nim w targi

wchodzić: niezmienne są Jego zamysły,
a czego dusza Jego chce — to czyni!):
spełnił nademną swą wolę! — i prysły

dni mego szczęścia! — A wszak-ci On w skrzyni
ma w pogotowiu plag takowych wiele!
Więc strwożon jestem, jak człek na pustyni

i bojaźń przed Nim mieszka w mojem ciele:
Bóg zdeptał serce me, zgniótł mię Wszechmocny, —
ginę dla mroku, co wokół się ściele,

i cień już zewsząd ogarnia mnie nocny...

VII.

R. XXIX. w. 1—25.

Ijob, podjąwszy jeszcze swoją gadkę,
przydał też, mówiąc: Kto mi dać to może?
kto ku minionym dniom mi rzuci kładkę,

abych się wrócił i był, jak w tej porze,
gdy mię Wszechmocny strzegł, nie godząc we mnie,
owszem, gdy światło mi świeciło boże

i rozpraszało przed krokiem mym ciemnie:
jakom był za dni swej młodości, gdy to
w namiotach moich mieszkał Bóg tajemnie,

a jam z Nim gadał, otoczony świtą
dziatek mych słodkich; kiedy moje stopy
w maśle brodziły i kamień mi litą

oliwę sączył!... Gdym w miejskie okopy
wchodził, na rynku ławę mi stawiano
pośrodku mężów, — zaś co młodsze chłopy

ze czcią się kryły, a starców kolano
drżąc, prostowało się przed mym widokiem, —
wielmożni milkli i wargę rumianą

cisnęli palcem, — radni, stojąc bokiem,
głos hamowali, zabywszy języka!
Szczęsnym mnie mienił, kto mię uźrzał okiem,

a czyje ucho jeno głos przenika,
sławił mię, iżem był zbawcą chudzinie,
na płacz nie głuchy, i za pomocnika

stawał sierocie, co bez pieczy ginie.
Błogosławieństwo tych, co zmarnieć mieli,
spływało na mnie, i snadź jeszcze ninie

przezemnie serce wdowy się weseli!...
Sprawiedliwością odzian, jak oponą,
chodziłem w szat mych nieskażonej bieli,

a prawy sąd mój był mi jak koroną!
Ślepemu-m okiem był, chromemu nogą,
nędzarzom — ojcem. Jeśli mi mówiono,

czegom nie wiedział: pilniem prostą drogą
zdążał ku prawdzie. Przewrotnika szczęki
kruszyłem, korzyść wydzierając mnogą

ze zębów jego. Mówiłem: przedzięki
w gnieździe swem umrę, lat żywota syty,
jak palma! Woda krzepi siew mej ręki,

żniwo me syci rosy spad obfity!
Łuk w mojej dłoni poprawiać się będzie,
wielmożność moja w nowe iść rozkwity!...

Którzy czekali na moje orędzie
lub wyrok —, milcząc słuchali mej rady,
nie śmiejąc przydać do mych słów, co w pędzie

spływały na nich, jakby wodospady.
Jak dżdżu mię łakli! usta otwarzali,
jako na rosę, co mży w wieczór blady...

Chociam się ośmiał — nie byli zbyt śmiali:
blask mojej twarzy w oczach im nie śniedział!
Jeślim szedł do nich — cześć mi oddawali:

siadałem pierwszy, — a chociam tak siedział
jak król w pośrodku stojących w okrutnym
strachu, znających między nami przedział:

pocieszycielem byłem wszystkim smutnym!

VIII.

R. XXX. w 1—31.

A dziś się śmieją ze mnie młodsi w leciech,
których ojcowie nie byli mi godni
paść trzód mych z psami, bo moc rąk ich przeciech

za nic nie ważył! — Od nędze niepłodni
i niedostatku, nie warci żywota
samego, zda się, — co się gryźli, głodni,

w pustkowiach, gdzie się ich brudna sromota
kryła przed słońcem, — którzy chwast spasali,
korę drzew, korzeń wyłupiony z błota

i ziarń jałowców, — a gdy łup w oddali
postrzegli, z krzykiem bieżeli ku pastwie;
którzy, jak ziemne zwierzęta, mieszkali

w łożach potoków, w jamach i na drzastwie,
za rozkosz mając, ległszy gdzie pod krzakiem,
z równymi sobie pogzić się w plugastwie, —

synowie głupich i spodlonych brakiem,
nędzni, na ziemi nie widzialni zgoła!
A dziś — sam oto w poniżeniu takiem,

stałem się dla nich jak piosnka wesoła,
abo przypowieść! Brzydzą się mną! stronią
zdala, nie wstydząc się oplwać mi czoła

w przechodzie! Bowiem Pańską jam jest dłonią
trapion: otworzył sajdak swój, wędzidła
włożył w mą gębę... Z wschodu na mnie gonią,

wstawszy, me nędze, i jakoby w sidła
jestem wplątany, — podbito mi nogi:
ćma nieprzyjaciół ciśnie mnie obrzydła!

Którzy kopali rowy w poprzek drogi,
zasadzki na mnie czyniąc — zwyciężyli,
a nikt mi nie dał pomocy! I wrogi

jakby przebiwszy mur, tak w jednej chwili
napadli na mnie, — wraz, jak przez wierzeje
rozwarte, na mą nędzę się rzucili!

W niwecz obrócon jestem, krom nadzieje:
jak wiatr minęło moje pożądanie,
jak obłok, który od słońca niszczeje,

tak zdrowie moje Ty strawiłeś, Panie!
I dzisiaj we mnie samym więdnie dusza,
upadłszy w nędzy ostatniej otchłanie...

W nocy ból wierci kość mą i rozkrusza;
nie śpi czerw zasię, który żre me ciało,
lecz mnóstwem kazi mą odzież i zdusza

mnie, jakby ostra włosiennica. Małą
garsteczką błota jestem i popiołu,
perzyną, którą wianie burz rozwiało...

Choć oto wołam do Ciebie z padołu,
Ty mię nie słuchasz! choć staję na przodzie,
nie zważasz, z głazem ceniąc mnie pospołu!

Okrutnym dla mnie się stałeś! w niezgodzie
poczynasz ze mną i straszliwe brzemię
Twej ciężkiej ręki zgniata mnie i bodzie!

Owoś mię podniósł i znagła o ziemię
rzucił, jak wicher niewstrzymanej mocy.
Wiem, iż mię podasz śmierci, gdzie ma plemię

żywych pośledni dom w wieczystej nocy, —
a kto dłoń zbawczą ściągnie do kostnice?...
kto potępionym będzie ku pomocy?

Nędzy-m się niegdyś użalał, prawicę
podając onym, co ginęli marnie:
światła-m wyglądał — a mrok ćmi me lice,

czekałem dobra — zło się ku mnie garnie!
Wrą me jelita, jakgdybym miał żagła
we wnętrzu; srogie trapią mnie męczarnie:

oto twarz moja zeschnięta i smagła,
choć na nią słońce nie świeciło latem!
i jęczę wobec pospólstwa, gdy nagła

boleść mnie dojmie... Wężów jestem bratem
i druhem strusiów: skóra ze mnie spada
i kość schnie w ciągłem upaleniu, — zatem

płacz mi jest harfą, fletnią — jęk i biada!

IX.

R. XXXI. w. 1—40.

Układ zrobiłem był z oczami memi,
iż nie popatrzą nawet na dziewicę;
a cóż w nagrodę Bóg mi dał na ziemi?

jakim się działem z wysoka poszczycę?
Aza nie słuszniej ona dola sroga
winna paść mrokiem na zbrodniarza lice,

alibo, który zapiera się Boga?
Czyż on nie widzi moich dróg? nie liczy
kroków mych wszystkich? Jeśli moja noga,

marnoście goniąc, szła na szlak zwodniczy,
albo kwapiła się kiedy ku zdradzie
i dóbr bliźniego nieprawej zdobyczy:

na sprawiedliwej niech mnie wadze kładzie
On — a wnet pozna, czym poczynał krzywo!
Jeślim z dróg Pańskich zszedł i z prawem w zwadzie

za okiem żądzę serca stał łapczywą,
jeśli do ręku mych przylgnęła zmaza:
niech z siewu mego inszy zbiera żniwo,

ród mój niech do cna wybije zaraza!
Jeśli niewiasta przezemnie zwiedziona,
jeślim u druha drzwi stał z myślą płaza:

niech cudzą dziewką będzie moja żona,
niech jej wstyd nagi obcym ludziom służy!
(Grzech to największy, rdza niewywabiona,

ogień pożerczy i zgubny, co burzy
pokój i człeka strawia, gdy rozpłonie...)
Azam się wzbraniał, gdy ze sług mych którzy

chcieli się sądzić ze mną? (Gdzież się schronię,
kiedy Bóg wstanie na sąd? co odpowiem,
gdy pocznie pytać? On w matczynem łonie

zdziałał nas obu — zarówno, i zdrowiem
opatrzył obu!) Azalim ubogie
z niczem odpędzał? lub nieszczęściem wdowiem

gardząc, okazał kiedy serce srogie?
czylim sam jadał, a nie jadł sierota
wespół z mej misy?... (Miłosierdzie drogie

było mi zawdy i z matki żywota
wyniosłem litość!) — Jeżeli wzgardziły
oczy me nędznym, iż ginie u płota,

jeśli mi owszem nie błogosławiły
boki nagiego, że je grzało snadnie
runo mych owiec, jeślim użył siły

przeciw słabszemu: niechaj mi odpadnie
ramię od stawu i niechaj zgruchoce
kość mej prawicy Pan, co w górze władnie!

(Zawdy mnie boskie przerażały moce,
jak wały wzdęte!) Jeśli rzekłem złotu:
tyś siła moja! — lub srebrnej patoce:

tyś me ufanie! — pyszny, żem bez potu
nalazł tak wiela, w dostatków użyciu
zbyt zakochany, — jeślim, gdy z namiotu

nieb wyszło słońce, własną dłoń w ukryciu
na znak czci usty całował grzesznemi
(co grzech jest wielki, zgoła nie ku zmyciu,

zaparcie przeciw Bogu nieb i ziemi!),
jeślim się cieszył, gdy człek upadł słaby,
lub kiedy wróg mój uskarżał się: źle mi! —

(ust nie wydałem ku grzeszeniu, aby
klnąc snadź, nie zwiodły na mnie klątwy nieba),
jeśli wzdychały kiedy moje raby:

obyśmy mogli nie jeść jego chleba! —
jeżeli owszem nie stała otworem
przechodniom moja przydrożna koleba;

jeślim nieprawość skrywał cnót pozorem,
chowając w sercu złość, jak wyrzut trądu,
jeślim z głupiego nie walczył uporem,

albo strachając się pospólstwa sądu,
nie chciałem pełnić swojej powinności —
(o! gdzież mój słuchacz? śród jakiego lądu

znajdę, kto słowa me na wysokości
powtórzy Panu? kto wypisze księgi
o mojej nędzy, abym je w żałości

czytał i na skroń włożywszy ich wstęgi,
stanął przed Panem, bólem uwieńczony,
by poznał żertwę swojej wszechpotęgi!) —

jeśli wołają przeciw mnie zagony,
i płaczą moje ugory a ściernie,
iżem nieprawie pożywał z nich plony

a trapił duszę oraczów nadmiernie:
miasto pszenicy niech rola jałowa
oset mi rodzi, miast jęczmienia — ciernie!...

— Tutaj się kończą Ijobowe słowa.

X.

R. XXXVIII w. 1—38.

Odpowiadając Ijobowi z tuczy,
Pan rzekł: Kto wikle nieroztropną mową
Moje wyroki? Niech ten, co Mię uczy,

jako mam czynić, jak mąż wstanie: owo
pytać go będę — niech mi odpowiada!
Gdzieś był, gdym ziemię utwierdzał, posową

niebios nakrywszy? — mów, gdyć łacna rada!
Wiesz-li, kto miarę jej stanowił? sznury
nad nią rozciągał? w czem tkwi jej posada?

i kto węgielny głaz kładł pod jej góry —
kiedy chwaliły Mnie gwiazdy zaranne
i bożych synów śpiewały Mi chóry?...

Kto morze zamknął wrotami otchłanne,
gdy się zrywało, jakoby z żywota
wychodząc? Jako w płaszcz Jam w nieustanne

mgły je przyodział — i jak macierz mota
dziecię w pieluchy, spowiłem je mrokiem;
tamę-m mu stawił i założył wrota

i rzekł: aż póty pójdziesz! — ani krokiem
dalej i tutaj rozbijesz nadęte
wały swe!... Aza — żyw już — swym wyrokiem

tyś świt rozniecił i drogi wytknięte
ukazał zorzy? Tyś ujął kończyny
ziemie i wstrząsnął, by strącić przeklęte?

(Owo są dla Mnie, jako pieczęć z gliny,
jak szata, którą się zrzuca dla plamy!
Ścmię oczy grzeszne! ramię pełne winy

zgruchocę!) — Wszedłżeś w morza toń? w wód jamy?
po dnie przepaści izali wiesz drogę?
Czyć otworzone były śmierci bramy?

w progu ciemności azaś stawiał nogę?
Znasz-li szerokość ziemi? Powiedz śmiele,
jeśli wiesz wszystko! Skąd światła pożogę

wywiodłem? kędy mrok się wieczny ściele?
Znasz ich granice? wiesz, którędy chodzić
do ich siedziby przez nieba topiele?

Aza wiedziałeś, że się masz narodzić
w on czas? dni twoich liczbę znasz? Czy może
wszedłeś do skarbca śniegu? będziesz brodzić

w zapasach gradu, który w wieków porze
Jam nagotował na dzień Mego gniewu,
na bój, gdy wrogi zetrę i ukorzę?

Którędy światło wchodzi? gdzie powiewu
wichrów początek? kto dał nawałnicy
bieg i z czyjego powstał deszcz zasiewu?

Posłucha grzmiący grom twojej prawicy?
— by szła ulewa na skalne pustynie,
gdzie się strusiowie jeno gnieżdżą dzicy,

by dała wilgoć piaskowi i glinie
i trawę z ziemi wywiodła zieloną?
Kto jest dżdżu ojcem? kto zrodził w godzinie

rannej niebieską rosę? czyje łono
wydało lody? kto szron spłodził siwy?
ściął w kamień wody, kiedy mrozy wioną,

i wierzch przepaści zamościł? Na niwy
niebios rozsiane gwiazdy zbierzesz razem?
abo rozwiedziesz Wozu krąg łyskliwy?

Za twoim wstanie jutrznia z mórz rozkazem?
ty rydwan słońca powiedziesz przez stropy?
twój palec będzie niebu drogowskazem?

Czy da ci obłok grzmot swój? lub potopy
wód cię okryją? czy rozpuścisz węże
swej błyskawicy, która pod twe stopy,

obiegłszy ziemię, wróci i ulęże,
mówiąc: Owom ja! —? Kto w zdarzeń pomroce
mądrość swą zawarł? czyja myśl jej sięże?...

Kto przeciw chmurom postawi swe moce,
kto zamknąć zdoła ich rozwarte żyły,
kiedy wichrowe skrzydło załopoce

i z pyłu ziemi sklepiają się bryły?

XI.

R. XXXVIII. w. 39—41. R. XXXIX. w. 1—32.

Dasz-że ty lwicy łup, by miały padło
na karm jej głodne w jaskiniach szczenięta,
kędy się czają? — Kto gotuje jadło

krukowi, kiedy wołają pisklęta
jego do Boga, trzepocąc się z głodu
i prosząc żeru? — kto o nich pamięta?

Powiedz! izali wiesz ty czas porodu
kozic na skałach, albo dzień, gdy skore
łanie w żywocie czują drgnienie płodu?

Czyś ty rozliczył ich miesiące? porę
wydania młodych tyś naznaczył? Oto
kurczą się trzewia ich i łono gore,

a one z rykiem płód swój żywy miotą.
Cielęta rychło rzucą matek wymię
i pójdą paść się gdzieś na halę złotą

i nie powrócą... Powiedz, w czyje imię
wolność nadana jest osłu, co światem
chadza swobodny? Ja mu dałem w zimie

bór za domostwo a step wonny latem! —
w pole ucieka, gardzi zgrają miasta
i poganiacza wołaniem a batem! —

po górach szuka paszy, — gdzie wyrasta
trawa dla niego, wnet znajdzie! Czy może
— mów! — uzna w tobie nosorożec własta?

u żłobu twego stanie? po ugorze
na lejcu twoim pójdzie, by zagony
w skiby ci łamał? Zawrzesz go w oborze?

włożysz nań jarzmo? zaprzężesz do brony?
zaufasz wielkiej sile jego, w wierze,
iż ci siew wróci i zgromadzi plony?

Oto podobne pelikana pierze
piórom strusiowym, który jajca składa
w ziemi i idzie na pustyń bezbrzeże...

Czy ty zagrzejesz je w piasku? twa rada
chronić je będzie od przechodnia nogi,
by ich nie starła? od zwierza i gada? —

Struś dla swych dzieci twardy jest i srogi,
jakby nie jego były: zapomina,
że mogą zmarnieć, — nie zawraca z drogi...

Bóg mu rozumu nie dał (to przyczyna!),
lecz sam ma w pieczy za to dzieci ptaka,
aby, gdy przyjdzie nań wzlotu godzina,

bez troski skrzydła mógł rozpiąć, z rumaka
i z jeźdźca jego szydząc. Dasz ty siły
koniowi, aby nosił w bój wojaka?

napełnisz rżeniem gardła jego żyły?
spłoszysz go może, jako ćmę szarańczy?
Oto strach wszelki nozdrzom jego miły;

parska, kopytem bije ziemię, tańczy —
siłą się cieszy i radośnie bieży
w bój! Nie zna trwogi; choć miecz bije nań, czy

grot — nie ucieka! Śród błysków puklerzy,
gdy sajdak chrzęści i dzwonią oszczepy,
on rży i pała, okiem przestrzeń mierzy:

nie dba, choć kotłów miedne grzmią czerepy!
Owszem! gdy surmy huczące posłyszy,
mówi: wah! —, zdala wietrzy bój, jak ślepy

gna, gdzie hetmanów krzyk i szczęk berdyszy! —
Izali twoją mądrością jastrzębie
skrzydło porasta? Na twój znak z zaciszy

puszcz wzleci orzeł — i na turnic zrębie
gniazdo zbuduje? Na skałach przebywa
i nad przepastne jarów krąży głębie,

a zdala widzi jego przenikliwa
źrenica zdobycz! Jeśli co ubije,
wnet kracząc, dziatwę swą głodną przyzywa,

która krew liże i ze ścierwa tyje...
— I rzekł Pan: Komu miła z Bogiem zwada,
myślisz, że łacno pokoju zażyje?

Kto wyzwał Boga, niech mu odpowiada!

XII.

R. XXXIX. w. 33—35. R. XL. w. 1—9.

Panu zaś odparł Ijob: — Gorze! gorze!
lekcem się z Tobą porwał walczyć słowy, —
cóż Ci odpowiem? Na ustach położę

dłoń, abych milczał. Jednom rzekł — i mowy
mojej nie cofnę, — nadto nie poruczy
serce nic ustom, ni spór wzniecę nowy... —

A Pan zaś odrzekł Ijobowi z tuczy:
— Jak mąż niech wstanie, kto wszczął ze Mną boje:
będę go pytał — a niech mnie pouczy!

Zali obrócisz w niwecz sądy Moje
i Mnie potępisz, abyś ty z swym losem
wydał się czystym? Aza ramię twoje

jest jak prawica Boga? albo głosem
zagrzmisz podobnym? Oblecz-że się chwałą,
wynieś się wzgórę i zniszcz władnym ciosem

potężnej dłoni tych, co są zakałą
ziemi; gniew na nich wylej zapalczywy,
aby przed tobą harde serce drżało!

Weźrzy na pyszne i jako Bóg żywy
poniż; stań pośród grzeszników czeredy
i w proch je zetrzyj, ogniem zniszcz ich niwy —

niezbożne wyzuj z ich ojczystej schedy, —
spraw, niech im w oczach tarcza słońca jasna
ście się na węgiel: a Ja-ć przyznam wtedy,

iż cię prawica może zbawić własna! —

Z KAZNODZIEJSKIEJ KSIĘGI SALOMONA

PRZEKŁAD.

1895.

I.

R. I. w. 1—18

Ja kaznodzieja, ja, syn Dawidowy,
ja, mędrzec Pański, władca Izraela,
szukałem prawdy i poznałem wiela —
a oto księgę piszę temi słowy:

Marność jest wszystko, marność nad marności,
i nic człek nad to nie ma z swojej pracy;
dzieła rąk jego roztoczą robacy,
a koniec wszystkich rzeczy jest w nicości!

Człowiek się rodzi, wzrasta, żyje, kona;
w miejsce wymarłych nowe wstają ludy
na nowe prace, boleści i trudy —,
giną — a ziemia stoi niewzruszona!

Nad ziemią wstaje jasna tarcza słońca,
wznosi się, świeci — i na zachód dąży,
gaśnie, znów wschodzi i po niebie krąży,
drogą tą samą — i tak wciąż, bez końca.

Wszystkie strumienie uchodzą do morza,
a morze nigdy nie wykracza z brzegu!
wody wracają, w wieczno-krężnym biegu
płyną bez zmiany przez te same łoża.

Wiatr na południe z północy przelata,
i znów na północ skrzydła swe przeważa;
wszystko przemija i znów się powtarza, —
a trudno nazwać wszystkie zmiany świata!

Oko wciąż patrzy i obrazy łowi,
lecz nie nasyca się nigdy widzeniem,
ani się ucho napełnia słyszeniem:
głos przez nie leci podobny wiatrowi!

A wszakże wszystko, co było, znów wraca,
i co się stało, znowu dziać się będzie;
i tak bez końca pasmo dni się przędzie,
ze starych nowe... Czem-że ludzka praca?

Kędy jest, ktoby dzieło życia swego
mógł nazwać nowem? Wszystko, co się dzieje,
znały minionych już wieków koleje —
i nic pod słońcem tem niemasz nowego!

A pierwszych rzeczy pamięć już u ludzi
zgasła — i dawnych słów przebrzmiały dźwięki, —

a któż przypomni dzieła naszej ręki,
kiedy pierś naszą w grobie śmierć ostudzi?...

Przetoż ja, mędrzec, władca Jeruzalem,
ja, kaznodzieja i król Izraela,
widząc to wszystko, lat strawiłem wiela
na myślach łzami zaprawnych i żalem.

I rozmyśliłem w sercu mojem badać
i dowiadywać się o wszystkiem mądrze,
zarodka prawdy w każdej rzeczy jądrze
szukać — a co bych nalazł, w księgi składać.

A tę najgorszą dla tej ziemi syna
Bóg dał zabawkę, aby się nią bawił —
by na szukaniu mądrości czas trawił,
a poznał w końcu: wszystko proch i glina!

I wszystko marność, marność nad marności,
i wszystko próżne utrapienie ducha;
głupi rad mędrca nie łacno posłucha,
ni się przewrotny odwieść da od złości.

Myślałem: Otom wielki na tej ziemi,
a mądrość moja w Izraelu sławna, —
ni jej dorówna jaka wiedza dawna,
ni się powtórzy między potomnemi!

Poznałem rzeczy, które są pod słońcem,
poznałem mądrość, głupstwo, cnotę, błędy, —
a oto przyznam, iż marność jest wszędy,
marność i boleść wszystkich rzeczy końcem!

I to wam głos mój na wsze czasy wieści,
że utrapieniem jest rozumu pycha,
a gorycz na dnie mądrości kielicha:
kto wiedzę mnoży, przyczynia boleści!

II.

R. II. w. 1—26.

Więc rzekłem sercu: ciesz się serce moje!
zażywaj dobra i zaznaj rozkoszy,
niech myśl posępną brzęk puharów płoszy
i pląsające mych miłośnic roje!

Ale poznałem, że i to jest marność,
śmiech mi szyderstwem wydał się i grzechem,
a więc rozkoszą wzgardziłem i śmiechem —
i znowu myśli me pokryła czarność...

Rzekłem rozkoszy: co mię zwodzisz darmo?
jałowa jesteś, niesyta i pusta! —
i powściągnąłem od wina me usta,
a łzy znów były mą codzienną karmą!

Znowu pytałem: kędy mądrość mieszka?
i czem się różni rozum od głupoty?
i jakim czynom nadać miano cnoty?
i jaka wiedzie, gdzie, do szczęścia ścieżka?

Czyż skarby moje i moja potęga
zadowolenia dla serca nie dadzą?
Toż mocny jestem i pod swoją władzą
mam lud i złoto z krańców widnokręga!

Począłem tedy gromadzić dostatki,
rozwielmożniłem wszystkie dzieła moje;
stawiałem domy, a złote podwoje
dałem i z cedru strop zdziałałem gładki.

Wokół rozkoszne sadziłem ogrody;
winnice moje umaiły wzgórza,
a woda cystern rosi ich podnóża,
a do cysterny setne ciągną trzody.

A w domu moim wezgłowia z purpury,
a stu lutnistów w struny cytar dźwięczy,
a sto służebnic przy mem łożu klęczy —
wszystkich ziem świata najpiękniejsze córy.

Okręty moje, jak stado żórawi,
ciągną ze złotem przez morskie głębiny,
a dziesięć krain zsyła mi daniny,
a dziesięć ludów mądrość moją sławi!

I nie broniłem oczom mym wesela
anim postawił sercu jakiej miedzy —

a tom za dział swój miał, z bogactw i wiedzy
sławny po ziemi, ja — król Izraela!

Lecz kiedym pojrzał królewskiem obliczem
na bogactw moich niezliczone krocie,
na dzieła w trudzie stawiane i pocie,
poznałem: wszystko marnością i niczem!

Wszystko przemija pod słońcem, jak mara,
i nie trwa wiecznie nic, co zdziałał człowiek, —
więc poco trudem spędza sen z swych powiek,
na co buduje i o co się stara?...

Próżność człowieczych zabiegów poznawszy,
poszedłem światła szukać i rozumu,
patrzeć, czem mędrzec od szaleńców tłumu
różny i w czem jest żywot nań łaskawszy?

I zobaczyłem mędrca i głupiego —
i wiem: jak różna od nocy jaśń dzienna,
tak od głupoty mądrość jest odmienna;
wszelakoż jeden koniec jest wszystkiego!

I rzekłem w sercu: jeśli będzie jedna
śmierć dla głupiego i mędrca pospołem,
obaj są równo prochem i popiołem,
i nic mi mądrość na ziemi nie zjedna!

Wszystkich się ludzi w proch obrócą szczątki,
wszystkich zarówno skryje zapomnienie;
ani ich wspomni przyszłe pokolenie,
ani zostaną w czasie ich pamiątki...

Więc chociam lata, szukając mądrości,
strawił, nic nie mam, — pociłem się próżno
a śmierć mi jedna nie zostanie dłużną;
więc i to marność, jak inne marności!

Przeto obmierzły mi już dni żywota,
gdyż wszystko złem jest i wszystko boleścią,
a utrapienie ducha — całą treścią
rzeczy pod słońcem, i wieczna zgryzota!

Oto mi wstrętne trudów mych zdobycze;
jąłem się brzydzić dziełem mojej ręki,
i od prac moich, owoców mej męki,
z pogardą smutne-m odwrócił oblicze.

I odmówiło serce moje trudu,
i odmówiła ręka ma pracować,
bo nie wiem komu mam te skarby chować,
na jakie czasy, dla jakiego ludu?

Mam-ci dziedzica zostawić po sobie,
o którym nie wiem, zali nie roztrwoni

dobytków moich i pracy mych dłoni,
którą zdziałałem w mego życia dobie?

A któż mi marność gdzie większą wymyśli!
człowiek przez wszystkie dni swego żywota
pracuje, składa, dręczy się, kłopota,
by trwonić mieli co dziedzice przyśli!

I to nieszczęście! na cóż mi ta praca,
co mi ze złota, wiedzy i zasobu, —
wszak-ci nie wezmę z sobą nic do grobu,
gdy śmierć zawita, co wszystko wywraca!

I gdzież pod słońcem pożytek człowieka?
pełne dni jego boleści i znoju,
ani śpiąc w nocy zaznaje pokoju,
ni wie, pracując, co go jutro czeka.

Zali nie lepiej jeść i pić bez troski,
zali nie lepiej wypróżniać puhary
na łonie dziewek, przy dźwiękach cytary,
w pląsach i śmiechu?... A to-ć jest dar boski!

Śmiech Bóg mądremu i wesela różne
dał — a głupcowi pracę i frasunek,
by inny z winnic jego spijał trunek;
— lecz i to marność a strapienie próżne...

III.

R. III. w. 1—22.

Wszystkiemu czas jest pod słońcem i pora,
wszystko na świecie krąży bez ustanku
i wszystko mija! Jest-ci czas poranku,
i czas południa jest, i czas wieczora.

Jest czas początku i czas końca rzeczy,
jest czas zasiewu — i jest czas zbierania,
czas śmiechu, pląsów jest — i czas płakania:
a cóż ma nad to z prac swych syn człowieczy?

Wszystko ma drogi niewzruszone, wieczne,
a człek nie zdoła zmienić ich porządku:
to jest i będzie, co było z początku —
a co Bóg zechce, wszystko jest konieczne!

A wszystko dobrem wyszło z ręki bożej,
lecz niedostępne dla tej ziemi syna
ścieżki poznania, bo on proch i glina,
i źle mu było i jest mu wciąż gorzej.

Darmo by myślą wzlecieć chciał do nieba
i darmo poznać odwieczne wyroki:
dziedzictwem jego znikomość i mroki,
i zawsze boleć mu i tęsknić trzeba.

Niechaj się zatem nie zrywa do lotu,
niech nic nie szuka, bo nic nie odkryje,
niech się weseli jedno, je a pije,
boć to jest jego, kromia łez i potu! — —

Gdym podniósł oczy, obaczyłem wszędzie
na miejscu sądu niezbożność i zdradę,
w miejscu prawości — podłość i szkaradę;
wszelakoż wszystkim rzeczom koniec będzie.

Dla wszystkich przyjdzie czas sądu i śmierci,
człek sprawiedliwy jako i niezbożny
pomrą zarówno w dzień on wszystkim trwożny,
i czerw ich kości spróchniałe przewierci.

A Bóg dopuścił marność na tę ziemię
i zdeptał synów Adamowych pychę,
aby poznali, jak ich życie liche
i że bydlętom równe ludzkie plemię!

Bo cóż ma więcej człowiek nad bydlęta?
równy obojga stan jest i skończenie,

i życie równe, równy los i tchnienie,
nieświadomości wiecznej równe pęta!

Wszystko jest marność! — i wszelakie ciało,
człowiek i bydlę, drogami jednemi
na jedno miejsce muszą iść — do ziemi:
w proch się obraca, co z prochu powstało!

A któż mi powie, zali ma co więcej
syn Adamowy? — i gdy śmierć rozkrusza
ciało, wstępuje-ż w górę jego dusza,
a w dole miejsce jest duszy bydlęcej?

Doczesne wszystko i wszystko jest marne,
rozkosz nie syci, praca próżno trudzi,
a nieświadomość klątwą wszystkich ludzi —
bo któż odgadnie, czem jutro ciężarne?

A więc dzisiejszy dzień trzeba pochwycić,
zapomnieć wczora, nie myśleć o jutrze;
wszak z każdą chwilą nasze życie krótsze —
pocóż je myślą truć i łzami sycić?...

IV.

R. IV. w. 1—3.

Uźrzałem pychę, zbrodnie i potwarze,
łzy uciśnionych mrących bez pomocy,
i żądnych światła — pogrążonych w nocy,
i splugawione widziałem ołtarze.

A żaden nie wstał cierpiącym obrońca,
ani kto pomścił zhańbione świątynie; —
żyje bezbożny, sprawiedliwy ginie —
a wszystkim równo świeci tarcza słońca!

Więc sprawiedliwość pustem słowem jedno,
a łez rozlanych w górze nikt nie liczy!
łańcuchem cierpień ten żywot pątniczy,
a tam przed nami — ciemności bezedno!

Przeto — iż boleść syna ziemi chlebem —
więcej umarłe, niźli żywe chwalę,
a najszczęśliwszy — niezrodzony wcale,
co jeszcze złego nie widział pod niebem!

V.

R. V. w. 14—19., R. VI. w. 1—11.

Jako człek nagi wyszedł z matki łona,
tak w grób się wróci, nic nie biorąc z sobą.
Na wiatr pracował; wielką to żałobą:
ubogi zrodził się, ubogi skona!

Na cóż się tedy trudzi a kłopota
w znoju a smutku, w srogiem uciśnieniu:
jeżeli umrze — i cóż mu po mieniu?
Lepiej swą pracę strawić za żywota!

Niech je a pije, używa bez troski,
niechaj sam zbiera trudów swych owoce:
dał Bóg dobytek, da też snadnie moce,
by zeń korzystać. Dar to iście boski.

Strachem jest w rzeczy śmierć, żałosnym końcem,
który nikogo minąć nie omieszka;
niechże do niego kwietna wiedzie ścieżka,
bo dni nie wrócą, przeżyte pod słońcem!

A to nagorsza nędza, słyszcie ludzie!
gdy kto gromadzi dostatki w stodole,
a Bóg korzystać z nich mu nie da wole:
obcy człek pożre, co on zebrał w trudzie!

Choćby kto synów dzielnych setkę spłodził,
chociażby mnogie liczył wieku lata,
zasię nie użył na tym świecie świata:
powiadam — lepiej, by się był nie rodził!

Próżno żył bowiem! Śmierć go zmoże chrobra;
w ciemność zapadnie i w otchłani zginie,
a imię jego bez pamiątki minie:
nie widział słońca, nie znał zła ni dobra!

Choćby żył tysiąc lat — a w gorzkiej doli:
zaliż nie pójdzie tak samo do ziemie?
Każdemu pracy Bóg naznaczył brzemię,
lecz tem się ludzki duch nie zadowoli!

Nie ma nic mędrzec w życiu nad głupiego,
a cóż się nędzarz na świecie panoszy?
Lepiej zażywać znanych tu rozkoszy,
niż się spodziewać... tam nie wiedzieć czego!

Lecz i to marność a strapienie ducha!
Choćby kto sławą wyniósł się do nieba:

człowiek jest tylko! — i umrzeć mu trzeba,
a mocniejszego bez pochyby słucha!

Marna pociecha przemawiać do tłumu!
Łatwą jest rzeczą gadanina pusta:
wiele słów próżnych miecą ludzkie usta,
lecz trudno bodaj o szczyptę rozumu!

VI.

R. VIII. w. 17., R. IX. w. 1—12.

Toć wiem, że ziemscy nie pojmą synowie,
dla jakich przyczyn Bóg stanowić raczy
rzeczy pod słońcem tak a nie inaczej:
im więcej bada człek, tem mniej się dowie!

Choćby się chełpił kto takim rozumem,
iż wszystko pojął i zna boską wolę,
którą się snuje los na tym padole:
doprawdy — kłamie przed sobą, lub tłumem!

Są sprawiedliwi zaiste i czyści;
zasię ich czyny wszystkie w bożych ręku, —
lecz próżno badać im w wieczystym lęku:
miłości godni są, czy nienawiści?!

Wszystko, co przyjść ma, niepewne jest bardzo;
jedne przypadki w wszystkich równo godzą:
w tych, co są czyści, w tych, co w kale brodzą,
którzy czczą Boga, którzy Bogiem gardzą!

Jednoć zaprawdę, czy człek sprawiedliwy,
czy też w bezwstydnej nieprawości żyje,
strzeże się krzywdy, czy po dobro czyje
wyciąga rękę... A Bóg przecie żywy!

A toć nagorsza z wydarzeń pod słońcem,
że się zarówno wszystkim ludziom stawa —,
i przetoż serce gorzki żal napawa,
bo wieczna nicość wszystkiego jest końcem!

Nie żyje wiecznie nikt! a człek pragnący,
aby żył, nawet łudzić się nie może,
iż ujdzie śmierci, a przecież, o Boże!
od lwa zdechłego lepszy pies żyjący!...

Bo chociaż żywi wiedzą niewątpliwie,
iż mają umrzeć, to umarli zasię
nic już nie wiedzą: przeminęli w czasie
i już ich niema. Ten li jest, co żywie.

Niemasz dla zmarłych złości ni kochania,
niemasz zawiści, ni żadnego działu,
który żywemu tu przypada ciału,
ku czemu ludzkie serce się nakłania.

Idź więc, a ostaw smutek swój na progu,
jedz chleb w weselu, staryś jest, czy młody, —

wino pij, słodkie sprawuj sobie gody,
bo radość twoja podoba się Bogu!

Wdziej szaty strojne i uwieńcz się różą,
wonnym olejkiem głowę zroś trefioną
i rad uciechy zażywaj z swą żoną,
dopóki żądzom twoje siły służą!

To w twej marności jest twój dział jedynie,
więc co masz czynić, czyń zarychła śmiele,
bo tam, gdzie idziesz, mrok się jeno ściele,
szczęście jak gorycz zarówno tam minie!

Bom i to widział, że nie skrzętny składa
złoto, ni dzielny mąż wygrywa wojny,
ni serca ludzkie ma ten, który hojny,
lecz traf we wszystkiem a przypadek włada!

A końca swego nikto nie odgadnie:
jak ptaki siecią, jako ryby wędą,
tak też i ludzie wnet pojmani będą
w matnię śmiertelną, gdy zły czas przypadnie!

Przeto — iż człowiek czas niedługi gości
na ziemi, zanim śmierć go z niej wypłoszy,
niechaj zażywa — co może — rozkoszy...
— choć i to marność, jak inne marności!

ŚWIĘTY SZYMON SŁUPNIK.

1903.

I.

Pomiędzy niebem a ziemią, nad grzechem
i nędzą świata — samotny i święty —
stoję i czekam wielkich sądów Boga.

Tam w dole szumi miasto oszalałe,
tam rozhukaną strugą życie płynie
i grzeszna rozkosz doczesna — przeklęta;
tutaj pod niebem, na mojej wyżynie
cisza jest wielka, zaledwie zmącona
dalekich głosów rozpierzchniętem echem,
co się po krzewach suchych i po głazach
wzwyż skrada ku mnie, by u stóp mych skonać...

Na słupie z drzewa twardego, na słupie,
który-m własnemi ociosał rękoma
i — jak krzyż ciężki wyniósłszy na wzgórze
tu ponad miasto skazane na zgubę,
wbił między głazy spalone od słońca:
stoję i patrzę na szeroką ziemię,

którą skalało grzechem ludzkie plemię, —
stoję i patrzę na nieba przeczyste,
gdzie wśród Aniołów Ty królujesz, Chryste!

Lata mijają. Ile lat już stoję
tym ociosanym pniem drzewa wzniesiony
nad miasto, niwy, nad dalekie morze,
w błękit i w jasne, czyste światła boże:
próżnobym liczył! Zda się, że korzenie
suchy słup w ziemię zapuścił jałową,
a nogi moje, stężałe w bezruchu,
same się stały jako martwe słupy.
Włos nieczesany na barki mi spływa
i krwawą nagość moich ramion kryje,
z których płaszcz opadł, z dawna już zbutwiały,
i skóra spada, jak kora na drzewie
od ostrych wiatrów spękana i słońca.

O Panie! dręcz mnie, niszcz mnie, siecz pożarem
słońca, pragnieniem pal i łam me kości
i w niepojętej swej Sprawiedliwości
ze mnie zapłatę bierz za grzechy świata —,
Baranku święty, zmazą nieskalany,
któryś niewinnie cierpiał za nas rany!

II.

O Antyochjo, grzesznico bezwstydna!
Co dnia cię widzę w pośrodku zieleni, —
w nocy twe światła błyszczą mi wśród cieni,
i nad najsroższe męki mej katusze
ta mi najcięższa, iż się patrzyć muszę
wiecznie grzechowi w bezkarne oblicze!

O Panie, Panie! jak mi jeszcze długo
czekać tak każesz dnia Twojego gniewu,
który pognębi pyszne i szalone!?
Czyś Ty przepomniał, Panie, o tem mieście,
co Miłosierdziu Twojemu urąga
i Sprawiedliwość Twą straszną wyzywa
zmazą, zaprawdę, gorszą od tej zmazy,
dla której poległ Babilon, Niniwa
w gruzy upadła i ogień siarczysty
pożarł Sodomę —, iż się mścić nie kwapisz
krwie znieważonej Twego Syna, Boga?
Jeślić są miłe te moje cierpienia,

to nim powołać raczysz mnie do siebie,
ażebym z Tobą królował na niebie:
ukaż mi tryumf Twojego Imienia,
które się w gromach zapali nad miastem,
ginącem gwoli swych grzechów ohydnych!

Od lat nie zwracam twarzy ku wschodowi
i zapomniałem, jak Twój brzask wygląda,
wpatrzony ciągle w to rojne mrowisko,
by nie uronić snadnie onej chwili,
gdy Miłosierdzie Twoje się przesili
a Sprawiedliwość grom na grzeszne rzuci!
Co rano słońce za plecyma memi
wstaje i idzie niewidne ku górze,
żar coraz sroższy lejąc na mą głowę,
by mi szyderczo zajrzeć w twarz z południa;
co wieczór w złotej zachodu purpurze
oczy me krwawe, wiecznie wytężone
bezsenne oczy ślepi swym płomieniem:
a ja daremnie czekam tej godziny,
kiedy Ty poczniesz karać ludzkie winy!

Bo to nieprawda! to nieprawda, Panie,
bym chciał od zguby zbawić miasto ono!
Jeślim się Tobie ofiarował za nie,
to nie by wstrzymać Twoją dłoń wzniesioną,

lecz by tę ranę, którą grzechy świata
w Twem Sercu żłobią, zagoić ofiarą!
Owszem, o Panie! rychło rzuć płomienny
grom na nieprawe! Wstrząśnij skały ziemi
i gór zwaliska strąć przemożną dłonią
na dom grzeszników! Niechaj moje oczy
zobaczą jeno pustynię a gruzy
na onem miejscu, gdzie Twemu Imieniu
bluźniono; cisza niech wieczna pogrzebie
te ludne place, ulice szerokie,
po których dzisiaj bałwochwalstwo pląsa
a zaś plugawa szaleje rozpusta
i w wyuzdanym, niesytym bezwstydzie
urąga niebu swą straszną ohydą!
Niech nie zostanie kamień na kamieniu
z tych marmurowych i cudnych pałaców!
Niechaj te drzewa bujne i kwitnące,
te sady złote zmarnieją i poschną!
Niechaj się morze cofnie wstecz od brzegu
i nie śle chłodnych wiatrów ku ruinom,
po których przeszedł orkan Twego gniewu!

A gdy pustynia tu zalegnie sucha:
w pokoju, Panie, zwolnij mego ducha!...

III.

Żar południowy odegnał tę garstkę
wiernych, co przyszli nakarmić me ciało
i kroplą wody zwilżyć usta moje,
modląc się zasię, abym w Imię Pana,
przez które moc mi nad przyrodą dana
za świętość moją — chore ich uleczył
i wskrzesił trupy, pod słup przyniesione.

Zbudziłem zmarłe, niemocne-m pokrzepił
i znów sam stoję na wyżynie mojej.

Senność ogarnia cały świat; — i miasto,
co jutro może będzie prochem tylko,
znużone grzechem, niebaczne, leniwe
na lazurowej i złotej śreżodze
południa leży, zasnąwszy w upale,
jako drapieżny, jurny tygrys — syty.

Białe marmury i porfiry ciemne,

znikome dzieła próżnej ludzkiej pychy,
na tle ogrodów w słonecznej powodzi
tak błyszczą zdala, tak się lśnią i świecą,
jako klejnoty w więź ujęte cudną,
któremi — niegdyś widziałem! — kobiety
stroją bezwstydnie swe lubieżne łona...

Tam przed bramami miasta, na tych łąkach,
gdzie kwitną modre i różowe kwiaty,
chłopięciem owce pasłem białorune...
Słodki głos kobzy niósł się w dal, na światy,
na wody czyste, na pachnące sady,
gdzie pod złotemi drzewy w jasnej tęczy
stanął Chrystusa cień przedemną blady
i wskazał dłonią to kamienne wzgórze...

Gdzie ten ciernisty pośród skał manowiec —
poszedłem, białych mych odszedłszy owiec,
i Tobie, Panie, w utrapieniu służę,
jak żóraw czujny, jak głaz nieruchomy
a czekający na Twe jasne gromy —,
a owce moje białe gdzieś po świecie
rozbiegłe, skubią łąk Twych wonne kwiecie...

O! jak falują te niwy zielone,
o! jak się kłonią te szumiące gaje!

O, jakiż słodki cień by dały drzewa
głowie mej w ogniu słonecznym spalonej!
O, jakże błoga jest kryniczna woda,
kiedy odwilża spiekłe podniebienie!
O, jak rozkosznie nad chłodnym strumieniem
rozciągnąć członki na puszystej trawie
i rozprostować stawy, co zakrzepły
i jak drewniane zawiasy się zwarły
iż ból dotkliwy targa moje ścięgna,
gdy z trudem ramię podnoszę ku niebu...!

Oto wśród ciemnej zieloności łanów
snują się drogi żółte, w dal wiodące...
Jedna w górzysty wiedzie kraj, w parowy
i w rozszumiałe na skałach dąbrowy,
ponad przeczyste ruczaje, gdzie owce
stadami chodzą po wilgotnej łące, —
a inna biegnie na zachód, ku morzu,
kędy jest przystań lazurowa, cicha...
Tam się zrywają w wieczornej godzinie
statki skrzydlate, białe morza ptaki
i na wiatr żagle rozwiawszy nieścigłe,
lecą za słońcem gdzieś w dalekie kraje,
kędy spiekota nie wypala mózgu,
ni nocna rosa nie żre chłodem ciała,
ani ból kości zdrętwiałych nie łamie...

Żar południowy ogarnia mnie, gryzie,
kąsa i pali... Cisza jest wokoło,
jeno koników polnych gdzieś sykanie,
jeno brzęk pszczoły zbłąkanej i tętna
bolesne bicie w mych zeschniętych żyłach...

Bądź uwielbiony, Panie mój i Królu,
dawco cierpienia i szafarzu bólu...

IV.

Oto się zbliża godzina zachodu,
która pasterzom słodki pokój wieści
i stada krzepi na zielonych łąkach;
oto powiały już wiatry od morza
i sieją rosę na powiędłe sady,
na zapylone ziół przydrożnych liście
i na me wargi spiekłe i spragnione,
w ciszy wieczornej Panu rozmodlone...

Gdzieś nad łąkami kobza brzmi pasterska,
i razem z rosą szklane krople dźwięku
sypią się z cichym szelestem na niwy
i na to miasto, niegodne, zaiste!
byś mu wieczory słodkie dawał, Chryste!

Oto je widzę, jak co dnia, w ogromnej
łunie zachodu, która jako pożar
płonie na dachach, zrazu złoty, potem
krwawy, aż w siność przejdzie i zagaśnie

pod ciężką nocy duszącej oponą.
A ledwie zmierzchną blaski dnia ostatnie,
zaledwie mroki w sieć zaułków wioną,
miasto, czerwone od krwawych pochodni,
jak lew, pod wieczór wstający z komyszy,
z chrzęstem swe członki przeciąga i dyszy
żądzą, do grzechu budząc się i zbrodni
z dziennej martwoty, opętane szałem,
który śród cieniów wstrząsa jego ciałem.

I przez noc całą światła niezliczone
płoną po rogach ulic, w oknach domów,
kędy nieprawość mieszka i niepamięć,
że jest na niebie Bóg, co karze winy, —
i przez noc całą słychać głos zmieszany
pijanych śmiechów, rozpusty, szaleństwa,
mącący wrzawą senny pokój świata!
Bo chociaż cisza nocna ukolebie
wszystką przyrodę, chociaż wiatry nawet
posną, w skaliste załomy wtulone
i nie szeleszczą po zeschłych badylach,
by nie przeszkadzać woniejącym kwiatom,
które w gwiazd świetle mówią z Tobą, Panem:
to jedno miasto nie zna snu ni ciszy,
ani spoczynku w nieustannym grzechu!

Ha! już się zrywa wielki szum, jakoby
morze falami o mój ostrów biło, —
po twardych brukach tętnią złote wozy
i echo gwarów zmieszanych zagłusza
pieśń, którą brzmiała gdzieś kobza pastusza!
Oto krzyk ziemi się ozwał — grzesznica
powstała na swe tany wyuzdane,
pierś cudzołożną obnaża i błyska
zalotnie oczu białkami i pianę
z ust malowanych toczy, — już się ciska,
w błocie szatańskich objęć już się szarga;
krew jej skażoną podła chuć przenika,
zwierzęcym krzykiem drży jej spiekła warga,
członki jej skręca jakaś rozkosz dzika:
rzęży, rży, parska, miota się i wyje
w okropnych, wściekłych, piekielnych podrzutach!

Oto się światła zażegły jaskrawiej,
jakoby pożar chodził po ogrodach
i marmurowe oplatał kolumny
włosami z ognia... Z otwartych podwoi
pałaców, bożnic, łaźni i zamtuzów
tłum się wylewa, — już ulice pełne,
a oni płyną wciąż i wciąż — bez końca!
nad głową, jak słońca,
niosąc pochodnie jaskrawe,

których blaskami złoci się i broczy
ludu fala czarna. —
O Panie!
otchłań piekielna, roziskrzona, parna!
wszystko się mąci, przewala, — choć oczy
przymknę, to jeszcze przez zwarte powieki
świateł rozżarzone ćwieki
w mózg się wbijają, — o Panie! litości!
o, Ty na krzyżu umęczony, Chryste,
Ty biczowany w cierniowej koronie,
Ty we krwie własnej skąpany potoku,
Święty! o! zbaw mnie od tego widoku!

Niechajże noc ta już będzie ostatnia!
niechaj śmiertelna rozewrze się matnia,
niechaj się wstrząśnie ziemia i pochłonie
te opętane, bezbożne i głupie!

O grom Cię, Panie! błagam na mym słupie!

V.

Kręgi płomienne, żółte i czerwone
tańczą tam w dole przed oczyma memi,
tam ponad miastem, które jest w tym cieniu
do kłębu wężów ognistych podobne,
przewalających się w czarnej otchłani
i zaś ze sykiem wznoszących swe szyje.

O Chryste! bądź mi ku pomocy!
W rozpasanego grzechu strasznej nocy
to miasto żywym stało się szatanem!
Oto mi widny
na tej równinie u stóp mego wzgórza
polip stuoki, potworny, ohydny!
Z mroku się wynurza
i tryumfować chcąc nad Tobą, Panem,
wspina się ku mnie, po stoku się wije,
tysiącem macek ruchliwych, jak żmije,
głazów się czepia
i pełznie wyżej...

O Królu nieba! Widzę krwawe ślepia,
bezzębną gębę rozwartą, plugawą,
tułów ohydny, wzdęty, trupio-siny,
po którym, jak po zgniłym stawie,
krążą i ciekną mętne oka pawie...
Słup mój długiemi okręca ramiony
i wlecze po nim kadłub owrzodzony,
puchnie, pęcznieje, rozrasta się, wzdyma:
oto już blizki —
ziemię przed memi zakrywa oczyma,
w lepkie mnie garnie uściski,
rośnie, jak góra — — o, Baranku świata!
dusi mnie, dławi, przygniata!
czuję na ustach skórę gadu ślizką,
brak mi tchu! — Panie! ratuj! — Exorcisco!

Oddycham wolno! Znowu gwiazdy widzę,
nad bagnem ziemi stojąc na kolumnie,
jak kwiat lilii na smukłej łodydze...
Mgły powiały ku mnie, —
świat pochłonęło gęste, szare morze;
grzech w jego wnętrzu syczy, jakby żary
w wodę wrzucone... Na ocean szary
niosą mnie święci Pańscy Aniołowie...

Nad to zmąconych grzechem fal przestworze

wzniesiony stoję, a to wielkie morze
bije o twardy zrąb mojego wzgórza
i pianą pryska, kotłuje się — płynie,
jak rozszalała, z nieb strącona burza.

Fala za falą rozhukana pędzi, —
coraz szaleńszy wyścig na głębinie:
czuję dreszcz ziemi i wód pęd straszliwy,
na skalnej tu stojąc krawędzi...
Zawrót mam w głowie... Panie! co się dzieje!
Słup mój, jakby żywy,
drgnął i kołysze się, chwieje:
wyrwał się z ziemi i nad tonią grzechu
krąg zatoczywszy, płynie — coraz chyżej!
W uszach świst wichru, w piersi brak oddechu —
a tam w dole fala
kłębi się, huczy, przewala:
straszne, z ciał ludzkich uplecione morze!
wir potępieńczy! głowy i ramiona!
białe kły, kurczem wykrzywione twarze!
stargane włosy! nagie, krwawe łona!
ócz błyskających białka! zamęt! krzyki,
rzężenia, śmiechy, przekleństwa i płacze!
wycie rozkoszy i wrzask mordów dziki! —
— a słup mój, wyrwawszy się ziemi,
ponad nurtami leci piekielnemi!

Ha! to już nie słup! to szatan mnie niesie!
Między rogami na włochatej głowie
stoję, na wściekłym, rozhukanym biesie,
w którego pal mój się z nagła przedzierzga!
Hop! hop! po falach sadzi jak szalony!
hop! hop! — cwałuje — krew bryzga na strony!
hop! hop! — kopytem rwie chmury i wierzga
i ryczy śmiechem!... Święci Aniołowie!
otom jest w przepaść niesion przez szatana!
Stój! ja ci każę! czarcie! w Imię Pana!

Czy ty był majak? Stoję, jako wprzódy
nad rozlanemi w krąg szeroko mgłami,
które spóźniony księżyc srebrem plami...
i tylkom czczości pełen jest i nudy:
piasek gorący czuję pod powieką,
a szpik dreszcz mroźny wysysa mi z grzbietu,
język w mych ustach gorzką stał się żmiją —
oślizgłem ciałem spiekłe wargi łechce,
wpełza mi w gardło i kąsa i dławi...
Senność mnie morzy... Módlmy się do Pana,
wróg bowiem czyha. Grzech na świecie włada —
ja jeden nad nim, jak biała kolumna.
Módlmy się Panu, — On skrzepi i wzmoże.
Trzeba nam czuwać... Kości się rozchodzą
w bólu zdrętwiałe... A te moje owce

upajające kędyś skubią zioła —
a Bóg nie zsyła gromu na grzeszniki —
a mgły się wiją srebrzyste dokoła:
dźwięk jakiś dziwny, cymbały, klarnety,
bęben i śmiechy i weselne śpiewy,
na mgłach tańczące półnagie kobiety:
gną się i chylą, wyciągają dłonie,
— o, zejdź, ty święty szaleńcze, ze słupa! —
włos wonny, złoty, rozkosz w oczach płonie,
piersi falują, drżą lubieżne usta,
— zejdź na uciechy niewypowiedziane!
katusza twoja głupia jest i pusta! —

Boże! o Boże! ratuj! Wiekuisty!
Ja znam tę głowę, co przedemną błyska...
Niegdyś — chłopięciem... Nie pomnę nazwiska...
Panie! to wonny kwiat był! taki czysty! —
Panie! odszedłem, boś Ty mnie zawołał! —
to czas zamierzchły już i tak daleki...
O Boże! dozwól, bym zamknął powieki,
abym nie widział... Zwalone na pował
ciała — i ona... Wiem, że ją to morze
schłonęło mętne... Boże! Boże! Boże!...

Więc niech się stanie... Nie dotknąłem usty
warg twoich nigdy, nie uniosłem chusty,

która twe piersi kryła, — tyś poniosła
miłość swą... — miastu! — Wabisz mnie rozkoszą...
idę... Obłoki biorą mnie, unoszą —
jak łódź —, z promieni księżyca mam wiosła...
Lata strawiłem — głupiec! — na tym słupie —,
Pan Bóg nie słyszał —, marne lata, głupie!
Miasto wciąż stoi — pyszne! grzech się sroży...
Rozkosz szpik wyschły dreszczem mi przenika —
twe dłonie! usta!... Precz! ja święty! boży — —
Piersi twe... Ginę... Światło, woń, muzyka...
wołasz mnie — idę — w otchłań...

Sen mnie morzy.

VI.

Oto świt wstaje... Zimne, ostre światła
z tumanu cieniów zbladłych rzeźbią kształty
i zacierają srebrną łzę księżyca,
po bladem niebie spływającą w morze...
Cisza... Po nocy szaleństwa i grozy
miasto zasnęło i w świtach się pławi —
śpiące, srebrzyste, spokojne i ciche,
a Pan tymczasem rozsnuwa swe światła
po nieb ogromnych błękitnej kopule:
grają już tęczą na dalekiem morzu,
już się na leśnych szczytach gór rumienią
i wnet tu do mnie — złotopióre ptaki —
zlecą i skrzydłem z boku lic musnąwszy,
padną przede mną na miasto i zwolna
zbliżać się będą tu, pod moje stopy,
świadcząc mym oczom o wschodzącem słońcu.

Czyś Ty szatana moc już zdeptał, Chryste?...
Wszystko jest ciche i srebrne i czyste,

że nie podobnem zda mi się do wiary,
iż tu był w nocy grzech i różne mary
piekieł i straszna szaleństwa pożoga, —
a nad domami temi ręka Boga
wisi i mściwy trzyma grom... O Panie!
to miasto piękne jest tak niesłychanie!
Źrenice moje w ciągu lat przywykły
patrzeć na cud ten, przeklęty i nikły,
iż mimowoli prawie lęk mnie chwyta,
że wyglądany dzień, ów dzień! zaświta,
kiedy wstające z za gór kędyś zorze
rozzłocą niebo i rozzłocą morze,
a próżno szukać będą na równinie
miasta, co w gruzy upadnie i minie —
i jeno słup mój potrącą, jak co dnia,
słup rozpłoniony świtem, jak pochodnia,
ponad pustynią suchą i jałową...

Już pierwszy promień padł w dolinę... Co to?
Powodzią światła w krąg oblany złotą
mój cień tam w dole! Cienia mego głową,
strącon z wyżyny, padłem w środek miasta!
i tak mię słońce wschodzące zastało:
tutaj na słupie nędzne moje ciało,
a tam — cień czarny, co z pod stóp wyrasta,
jakoby dusza moja zła i ciemna,

która uciekła z piersi mojej w nocy
i podczas, gdym się ja z szatanem zmagał,
szalała może razem z szalonymi
i wraca teraz do mnie w świt poranny,
ociągająca się, znużona grzechem,
czarna, skalana, aby znów zamieszkać
w mem łonie, jadem trując je gryzącym!

O Panie! ratuj mnie przed moim Cieniem!
bo ten cień marny miażdżącem brzemieniem
zwali się na mnie, bo on mi przyniesie
grzech tego miasta, w którym mimowoli
jam uczestniczył — cieniem! Panie! Panie!

Karz mnie! jam winien! Pozwoliłem w serce
wkraść się miłości ku grzesznicy, która
takim przepychem piękności się stroi, —
i szatan z mojej słabości skorzystał!
Karz mnie! jam winien! Pozwoliłem snowi
znużonem ciałem zawładnąć i oto,
w tej jako mgnienie powiek krótkiej chwili
cień mój się wykradł ze mnie — tam! i grzeszył,
łakomem okiem patrzał w tan rozpusty
i jako zbrodniarz uwięziony długo,
kiedy się wreszcie na wolność dostanie,
szalał i w kale ohydy się pławił!

Daremnie stałem tutaj lata całe
na twardym słupie w twardą wbitym skałę,
darmom katusze znosił niepojęte
i klątwy miotał na miasto przeklęte;
daremne modły, wysiłki i znoje
i z szatańskiemi pokusami boje
i życie w gorzkim przepędzone trudzie
i ten świętości mojej rozgłos w ludzie —
wszystko daremne! W piersi mojej żywie
grzech: niezgaszone pragnienie i miłość
świata, nad którym chciałem tryumfować!

O! karz mnie! Panie! bom ja robak lichy,
co z niezrozumnej i zbrodniczej pychy
na pal ten wpełznął i chciał ponad światem
stać się lilii śnieżno-białym kwiatem...
Karz mnie! jam więcej grzeszny niż te tłumy,
bom się przed Tobą okrył płaszczem dumy,
a nie umiałem wyrwać z swego wnętrza
tego, co klątwą jest ludzkiego rodu
i ojcem grzechu: wieczystego głodu!
— W proch niech mnie zetrze Twoja dłoń najświętsza!

Grzesznym jest, Panie mój! — grzeszyłem co dnia
tajemną myślą, gdy nie mogłem czynem! —

duch mój się grzechem upajał, jak winem,
a klął grzech bliźnich — wielka moja zbrodnia!
Gromu wołałem! kłamałem pogardę —
a wytężałem moje krwawe oczy
w toń mętnej rzeki, co się światem toczy...
Nie dość — o Panie! — łoże moje twarde,
nie dość katuszy znosi moje ciało...!
Dziecinną szatę mej świętości białą
skalałem dumą! — miłość pól rodzinnych
w dziką zaciekłość zmieniłem! w przekleństwo
zawiści! — Panie! na grzech i męczeństwo
skazałem (otom najwinniejszy z winnych!)
tę, która przyszła do mnie, jak ptak złoty,
a odepchnięta padła w tę kałużę,
którą ja kląłem, grzesznik! mrąc tu w górze
po nocach parnych z nieczystej tęsknoty
za tem, co czyste było! — Łzy mi biegą, —
winnym jest! karz mnie, Panie! mnie jednego...

VII.

Spiekota żre mię, sroższa i gorętsza
niźli zazwyczaj, — pyłem strop się chmurzy
i słońce krwawej jest podobne róży...
Ha! ziemia drgnęła! jak fala się spiętrza,
głuchy grzmot ryje kędyś skał posady:
trzęsienie! — W pył się walą miast kolumny...
Czemuś wysłuchał mnie, Panie! Stój! — Tłumny
lud biegnie ku mnie, z przerażenia blady:
Pójdźcie! ja winien! grzeszny, jak wy sami,
stokroć grzeszniejszy! ściągnąłem zatratę
na was! — rozdzieram swą ostatnią szatę, —
pójdźcie z ostremi w dłoniach kamieniami!
rzucajcie! czekam! — To jest moja wina,
że się ta ziemia pod wami ugina! —
Skrwawcie głazami moje czoło blade:
ja się modliłem dla was o zagładę!...

Co to? tłum przypadł do stóp słupa — zgięty;
podnoszą ręce, skarżą się i płaczą

i głosem wzdętym strachem i rozpaczą
modlą się do mnie: Ratuj nas! ty — Święty!...

Ha, ha! ja święty!... Miasto w proch się wali
i jeno słup mój trwa, jak gwóźdź ze stali.

RABI THARFEN DZIECIOBÓJCA.

Z TALMUDU

1899.

I.

Rabi Tharfen na przyźbie siadł i wzywa syna;
syn pokornie go słucha, a on tak zaczyna:

»Joeb! dzisiaj cię stawiam nad me robotniki,
masz nadzorcą być dla nich, masz sprawiać ich szyki.

»Bacz, by pilnie żyźnili winnic mych ogrody,
by przy pracy nie brakło ni jadła, ni wody.

»Gnuśnych skarcisz a raźnych utrwalisz pochwałą,
czas roboty wyznaczysz i zapłatę stałą.

»Przed Sabatem, nim gwiazdy zabłysną na niebie,
zejść im każesz z pól moich do domu, Joebie.

»Nie bądź srogi, lecz nie patrz na gnuśność przez
szpary;
ucz się rządzić, żyw ludzi, we wszystkiem bacz miary.

»Jeśli głodniby byli, tyś winien, Joebie;
jeśli zgrzeszą przy tobie, grzech spadnie na ciebie!

»Tyś jest pasterz, to owce, które skubią trawę;
bacz-że tedy, bo zdasz mi z ich czynności sprawę«.

*

Więc młodzieniec oraczy winnych ojca rabat
sprawiał odtąd i karmił i wiódł w dom na Sabat.

Aż w dzień ony najmici rzekli do Joeba:
»Oto głodni jesteśmy po pracy, daj chleba!«

Joeb milczy i wzdycha, głowa mu opadła:
słońce zaszło, a rzesza jeszcze dziś nie jadła.

Głód po kraju, owocu niema ani ziarna,
spichrze puste i dawno nie warczały żarna.

»Czemże tłum ten nakarmię? — rzekł — zali kamienia
dam im, by jedli, miasto żyta lub jęczmienia?

»Owoc jeszcze nie doźrał, a wszakże to grzechem
zrywać z drzewa owoce z przedwczesnym pośpie-
chem!«

A tłum woła: »Ty każesz nam przymierać z głodu?
oto figi tam widzim! wstęp daj do ogrodu!«

Joeb milczał, a rzesza w sad niesforna wpadła
i łakomie nieźrałe fig owoce jadła...

*

Rabi Tharfen na przyźbie siadł i wzywa syna;
syn pokornie go słucha, a on tak zaczyna:

»Głodna rzesza przy tobie, włodarzu niedbały,
w grzech popadła brzydliwy, owoc rwąc nieźrały.

»Jam uczynił, — Pan mówi — rzecz wszelaką żywą;
»Jam wyznaczył zasiewu czas i plonów żniwo.

»Jam nasieniem napełnił Adama śródtrzośle,
»Jam płodnemi uczynił winnic latorośle.

»Jam wyznaczył kobietom i klaczom porodu
»dzień i zaś rozmierzyłem czas dojrzenia płodu.

»I chcę, by żywot miało każde z moich stworzeń,
»by miał szakal — do czasu — karm i soki korzeń.

»A ktoby przeciął żywot w zarodku przedwcześnie,
»niech jak płód ten zmarnieje przedemną i zczeźnie,

»Tak Pan mówi...« — rzekł rabi. Joeb słuchał zdjęty
trwogą, a ojciec podniósł rękę: »Bądź przeklęty!«

*

Nim najbliższe Sabatu przeminęło święto,
piorun w głowę uderzył przez ojca przeklętą.

I z pośpiechem grabarze w noc wynieśli ciało;
rabi zasię spokojnie rzekł: »Słusznie się stało«.

II.

Rabi Tharfen na przyźbie siadł i córkę wzywa,
a na krasę jej patrząc, zwolna głową kiwa.

»Rachel! — rzecze — dościgłaś jako szczep jabłoni
i jak owoc granatu lico twe się płoni.

»Jak jabłonki, co nęci złodzieja widokiem,
pilnie-m strzegł cię w ogrodzie mym przed ludzkiem okiem.

— „*Lecz dziś ty się już możesz mężowi przygodzić:*
znój mu z czoła ocierać i potomków rodzić.

»Oto Józef, z mych uczni mnie najwięcej drogi,
dziewosłęby śle, chcąc cię żoną wwieść w swe progi.

»Zwołaj tedy służebne i dziergaj zasłonę,
co zakryje w noc ślubną lica twe spłonione.

»Jabłka w sadzie doźrały, a w murze są szpary...
czas już nadszedł. Potrzeba ci stróża. Jam stary«.

Skończył. Dziewczę skraśniało, jak w słońcu jagoda:
»Nie, nie! ojcze! Zaczekaj! Jam jeszcze tak młoda!«

*

Nadal tedy dziewicze zaplatała kosy,
woniejące od drogiej z ziół tłoczonej rosy.

I co wieczór, gdy z pól już schodzą robotnicy,
drżały kwiaty w ogrodzie pod stopą dziewicy.

A w pobliżu jej zwykłej wśród lilij ścieżyny
stawał Józef pod murem sadu u szczeliny...

Śpiew Racheli co wieczór płynął przez powietrze;
co wieczora Józefa lico było bledsze.

Odkąd bowiem ukradkiem zoczył włos jej złoty,
rozgorzawszy miłością, marł z próżnej tęsknoty.

Ksiąg mądrości porzucił mleczną pierś matczyną
dla tej, której pierś biała słodsza jest nad wino.

Lecz daremnie błagalne wznosił ku niej dłonie
i zawodząc o głazy muru krwawił skronie.

Śpiew dziewczęcia co wieczór w dal spokojny płynął,
gdy on jęczał i wił się i z rozpaczy ginął.

*

Rabi Tharfen na przyźbie siadł i córkę wzywa,
i na krasę jej patrząc, smutno głową kiwa.

»Rachel, — rzecze — twe oko z pod bezwstydnych powiek
zły blask rzuca. Przez ciebie cierpi mądry człowiek.

»Jam uczynił — Pan mówi — z Adamowej kości
»kobietę, by mężczyzna zaznał z niej słodkości.

Jam ku jego uciesze rozlśnił jej źrenice
»i nad lilje i róże uczynił jej lice.

»Jam rozkoszy w jej członki nalał, jak w kruż wina,
»by z nich czerpał. A imię-m jej nazwał: *mężyna.*

»Gdyż podlegać ma ona mężowi na wieki,
»wiatrem będąc mu cichym wśród życiowej spieki.

»Zasię jeśli by miała sprawiać mu męczarnie
»miast radości: niech zginie, jak szczep suchy, marnie!«

»Tak Pan mówi...« — rzekł rabi Rachel słucha zdjęta
trwogą, a ojciec podniósł rękę: »Bądź przeklęta!«

*

I zabłysnął nóż ostry w ojcowskiej prawicy
i jak piorun spadł, godząc w białą pierś dziewicy.

I z pośpiechem grabarze w noc wynieśli ciało;
rabi zasię spokojnie rzekł: »Słusznie się stało«...

III.

Rabi Tharfen na przyźbie siadł i wzywa żony —,
dziesięć wczora ich pojął z różnej kraju strony.

»Niewiasty! — rzecze do nich, — głód się wszędy
sroży, —
dobro swoje rozdałem — żyję z części bożej.

»Lecz z dziesięcin nie wolno użyczyć nikomu:
co wziął sługa świątyni, ma sam pożyć w domu.

»Przeto ja was pojąłem, byście — dziś me żony —
mogły chlebem się karmić, co mnie wyznaczony

»Macie jęczmień, oliwę, wszystką dziesięcinę;
pożywajcie bez grzechu, ja z głodu nie zginę.

»Oto ogród bednarza, — wolno jest z ogrodu
rwać każdemu na tyla, by nie umarł z głodu.

»To jest prawo. Nic nie mam, więc rwać owoc będę —
on mnie nie zna, lecz wpuścić musi jak przybłędę.

»A wy baczcie jedynie, bym ja się nie zmazał
przez was grzechem...« Tak rzekłszy, odejść im rozkazał.

*

Odtąd co dnia owoce w bednarza ogrodzie
zrywał rabi zgłodniały o słońca zachodzie.

Bednarz cierpiał; — wszak prawo każdemu pozwala
głód nasycić, czy z blizka by przyszedł, czy z dala.

Ale w końcu, gdy widział, że plon cały traci,
wezbrał złością (był skąpy, jak zwykle bogaci).

I z konopnym a dużym zaczaił się worem
na szkodnika, gdy przyjdzie po owoc wieczorem.

Wzbronić nie mógł — umyślił więc związać go w worze
i utopić po nocy w poblizkiem jeziorze! —

I uczynił, jak myślał. Związanego wlecze
ku stawowi, rad w duszy, że już nie uciecze.

Rabi czuje jak woda do gardła mu wpływa —,
darmo prosi litości, darmo łaski wzywa.

Aż nareszcie zakrzyknął: Tharfen tonie iście! —
Zląkł się bednarz: Człek święty! niech żyje wieczyście!

*

Rabi Tharfen na przyźbie siadł i wzywa żony:
dziesięć naraz ich pojął z różnej kraju strony.

»Niewiasty! — rzecze do nich, — oto zło się stało:
duszę grzechem zmazałem, karmiąc wasze ciało.

»Jam darował — Pan mówi — świętemu człekowi
»łaskę, wiedzę i wszystko, co świętość stanowi.

»Niech w niej chodzi przed ludem w sławie i ozdobie,
»lecz jej nie ma używać na pożytek sobie.

»Ktoby ciągnął korzyści ze swojej świętości,
»niechaj wicher rozmiata suche jego kości!

»Ktoby sławą świętego życie swe ratował,
»śmierć zaiste w mem sercu dla siebie zgotował.

»Tak Pan mówi — rzekł rabi — Jam się swem imieniem
wyrwał śmierci, co oczy kryła mi już cieniem.

»Ciała wasze od głodu ratując, ja święte
życie swoje skalałem —, bądźcie więc przeklęte!«

*

I na nędzę swe żony rabi precz od siebie
wygnał, zanim dzień nowy zabłysnął na niebie.

A w pokutnym popiele patrząc na tę białą
odchodzących gromadę, rzekł: »Słusznie się stało«.

RABI BEN PEDAS.

Z TALMUDU

1899.

Płaczem zmęczony i znużony łzami
rabi na łoże padł — i sen go zmorzył,
skroń mu czarnemi musnąwszy skrzydłami.

I zdało mu się, że się strop otworzył
nad nim niebieski i w światłości strudze
zjawił się przed nim Ten, co wszechświat stworzył.

A jako ojciec zszedł ku niemu, słudze,
z dobrocią wielką i tak pełen łaski,
jakby mu wszystkie gromy były cudze.

Rabi się przeląkł, a On złote blaski
przyćmiwszy, rzecze: Przecz Cię płacz uwodzi?
i przecz w twem sercu postrzegam niesnaski?

Azali nie wiesz, że ten, co się rodzi,
cierpieć tu musi i iść przez to życie,
tak jak się drogą pełną cierni chodzi? —

O Panie! — jęknął rabi — we wszechbycie
niemasz, w kogoby sroga losu ręka
godziła nieszczęść ciosem tak sowicie!

Oto mój żywot jako jedna męka! —
Stradałem wszystko i wróg mi w twarz miecie
śmiechem szyderstwa, gdy mnie serce pęka!

A wszakżem, Panie, i ja Twoje dziecię
i w prawdzie-m chadzał przed Twojem obliczem,
nad grzech niczego nie strzegąc się w świecie...

Więc jeśli Tobie krzyw nie byłem w niczem,
za co los gorszy dałeś mi od wołu
twardym oracza smaganego biczem?

Zalim Ci modłów zaniedbał u stołu,
przy którym jadam gorzki chleb z popiołem
i piję wodę ze łzami pospołu?

Wszakżeś mię widział z zakrwawionem czołem,
jakom przed Tobą kajał się w pokorze,
nieznanych grzechów szukając z mozołem?

Za co mię chłostasz tak, Zastępów Boże? —
I łkał znów rabi. Jahweh promienisty
rzekł zaś, dłoń wznosząc nad biednego łoże:

Zaiste! Jesteś w obliczu mem czysty
i niemasz żadnej na twem sercu skazy —
więc w cenie jest mi deszcz twych łez rzęsisty.

A iżem srogie na cię zesłał razy,
żal mi i radbym odmienić twą dolę,
byś radosnemi mógł mię czcić wyrazy.

Lecz wiedz, że jedną, Ja Bóg, jeno wolę
mam — i niezmienne są moje wyroki,
co utwierdziły ład w stworzenia kole.

Nim się strop niebios rozpostarł szeroki,
prawa-m zatwierdził wszechbytem rządzące;
słowa me trwalsze są, niż skał opoki.

I jednym torem odtąd wschodzi słońce,
gwiazdy niezmienną odbywają drogę,
a księżyc równe odmierza miesiące.

Zmieniać już tego, com rzekł raz, nie mogę!
Słońcu i gwiazdom iść przez bezmiar nieba,
burzom — w gromową stroić się pożogę,

wodom — w dal płynąć, wichrom lecieć trzeba,
śmiać się i płakać ludziom, zasię tobie
we łzach pożywać powszedniego chleba...

Lecz żal mi ciebie... I gdy chcesz, to zrobię
dla ciebie nowy świat, a starą ziemię
z bólem twym zniszczę i pogrążę w grobie...

I wskrzeszę nową; nowe ludzkie plemię,
nowy czas, wszystko! Na tym świecie może
lżejsze ci padnie dźwigać życia brzemię. —

Umilkł Jehowa. Rabi duma: Gorze!
ma-li świat ginąć, by on był szczęśliwy,
czy on ma dalej znosić ból w pokorze?...

Wreszcie wzniósł czoło: Pan i Bóg mój żywy!
okazał łaskę nademną, robakiem,
chcąc dla mnie zniszczyć swojej ręki dziwy!

Panie! niech słońce idzie swoim szlakiem,
niechaj grzmią wieki, jak spieniona woda,
niechaj się niebo gwiazd zasiewa makiem,

niech się wiosenna okwieca przyroda
i latem ryczą Twe czerwone burze:
świat jest zbyt piękny, niweczyć go szkoda —,

raczej niech ja Ci w łzach i nadal służę!...

SPINOZA.

1896.

Sed omnia praeclara tam difficilia
quam rara sunt.

Spinoza, Etyka.

Mędrzec pióro odłożył. Już zakończył księgę,
kędy uczył znać Boga w wszechświecie jednego,
znać przyrodę — i bliźnich — siebie samego:
duchem złych namiętności poskramiać potęgę
i być wolnym, cnotliwym być i bogobojnym,
jak stal twardym a mądrym, w nieszczęściach spo-
kojnym.

Pojrzał: Oto zagadka bytu tutaj drzymie!
Wszechświat się w myśli jego jak róża rozwinął —,
nad wszechświatem Bóg błysnął — i w nim się
rozpłynął.
On to ludziom objawia! — lecz nie chce, by imię
jego tu stało, — mędrca niegodna to pycha:
on nie umrze, choć Sława będzie o nim cicha.

On tam pójdzie — do Boga — na łono wieczności;
jak ta fala znikoma w morzu się rozpłynie,
zmieni postać, czas zrzuci z siebie, lecz nie zginie,

bo on cząstką jest Prawdy i cząstką Miłości,
którą Bóg się ukochał — i jemu objawił,
mówiąc w duchu, by poszedł w świat i ludzi zbawił..

Oto dzieło skończone już — i odejść może...
Pójdzie, pójdzie niedługo! — Pierś mu robak wierci,
słabe ciało się słania tknięte dłonią śmierci,
myśli jedno w nim świecą jeszcze — jasne, boże.
Uczuł mędrzec, że jako lampa się dopalał, —
ciało gasło, lecz duch w nim przed śmiercią nie malał.

I raz jeszcze przerzucił księgi swojej karty,
patrząc, czy się przypadkiem gdzie nie wkradły
błędy — —
Wszystko dobrze! blask prawdy z kart wyziera
wszędy;
jak wojsko na bój święty, szereg twierdzeń zwarty
idzie, — nad nim, jak sztandar, wielkie imię Boga:
mądrość wzniosła je, palcem wskazując, gdzie droga.

W górę! w górę, do światła! — Oto widzi plemię
ludzkie w jednym braterskim uścisku związane,
cnotą mocne i wolne, i szczęściem świetlane, —
widzi z grzechów, z przesądów oczyszczoną ziemię —
na niej mądrość i duchów czystych święty Eden,
nad Edenem, jak płomień: Bóg Wszystek i Jeden!

Wszystek i Jeden! Świat mu zniknął z oczu nagle,
błyskawicą bożego imienia schłonięty —,
fal doczesnych kształt zmarniał, w wieczności odmęty
myśl wpłynęła i orle rozwijając żagle
szła tak dalej i w górę, aż w końcu z wyżyny
ludzi dojrzeć nie mogła, czasu ani gliny.

W dole kędyś tam huczą wieków wodospady
i słońc tysiąc, gwiazd tysiąc przez otchłanie leci
w wiecznym wirze, sto gaśnie i znów sto się nieci;
tam się światy budują, ziemie, ziem pokłady;
tam są ludzie, — on wzleciał z pośród ludzi tłumu
tu, gdzie nawet pędzących słońc nie słychać szumu.

Dumał mędrzec, a świeca płonąca na stole
złoty blask na powieki przymknione mu kładła —
i po księdze rozwartej tajemne widziadła
migotliwy cień świecy wiódł... Obok przy kole
szlifierskiem szkła leżały, za których toczenie
mędrzec pieniądz dostawał na chleb i odzienie.

Tak mijały godziny. Płomień świecy spadał
coraz niżej i w wosku już rozlanym tonął;
knot się dopalał; cień już z kątów izby wionął;
wiatr jesienny na dworze dziwne słowa gadał,

bijąc w okno, — lecz mędrzec nie widzi, nie słucha,
przymknął oczy i w Boga patrzy okiem ducha.

I po szczeblach swej myśli począł schodzić na dół:
czas i przestrzeń, jak suknię, wziął znowu na
siebie,
ruch znów odczuł i gwiazdy dostrzegł znów na
niebie;
między gwiazdy się rzucił i na ziemski padół
zleciał skrzydły, jak orzeł, co podniebną jazdą
umęczony z chmur spada na cierniowe gniazdo.

Spadł na gniazdo i skrzydła szerokie roztoczył:
zimne gniazdo chciał ogrzać własną piersią, która
Bogiem jeszcze mu grzmiała, jak gromami chmura;
chciał je ogrzać — lecz piersi jedno krwią ubroczył:
cierń w nie każdy, jak żmija, wpełznął, a rubiny
krwi ciekły na podłoże z kamienia i gliny.

Oto jeszcze przed chwilą on był z Bogiem jedno,
patrzył myślą w Byt wieczny i gorzał miłością,
czując, że krwią z krwi Jego jest i z kości — kością
i pił szczęście, przed którem wszystkie ziemskie
bledną:
śnił o niebie, a ze snu bożego się budzi
tu na gnieździe cierniowem, na ziemi, śród ludzi!

Ludzie, ludzie! — on dla nich szczęścia, światła
pragnie —
a oni?... W walkach, w błocie! Tłum krwiożerczych
zwierząt!
Kędy spojrzeć — ślepota, pycha, przemoc, nierząd;
a on marzy, że myśl ich ku dobremu nagnie,
a on marzy, że prawda i prorocze słowo
uzdrowią oczy tknięte ślepotą wiekową!

Spuścił głowę na piersi, — kurczem zgięte palce
ciężko spadły na księgę, zadrżały mu usta,
oko nagle przygasło, zbladła twarz jak chusta,
czoło zmarszczki pokryły — i zląkł się, że w walce
pada, którą zwycięsko toczył do tej pory:
tchu mu w piersi zabrakło, uczuł, że jest chory.

Uczuł, że jest już chory i że w grób mu trzeba...
Szczęścia, które dla świata wyśnił, nie dożyje;
oto smutny, zmęczony jest; puls słabiej bije,
nawet myśli się plączą, co jeszcze do nieba
szły niedawno... Nad grobem wściekła klątwa dziczy
żegna mędrca, co kielich wychylił goryczy.

Jego najbliżsi klątwy rzucili nań kamień,
ci, dla których chciał szczęścia, wołali: bluźnierca!
ludzi kochał, a nigdzie sam nie zaznał serca —

życie strawił, by z grzesznych błędów i omamień
podnieść ludzkość — a dzisiaj nad grobem się pyta,
czy nie próżno je strawił? czy szczęście zaświta?

Oto wicher jesienny z szyderstwem się śmieje,
liście żółte i suche miocąc w dal bezkresną;
drzewa skrzypiące skargą wtórzą mu bolesną —.
Czyż i jego podobny los? — bez śladu-ż zwieje
wicher losów tę księgę, w którą on swą duszę
wlał dla ludzi? czy zginie w czasów zawierusze?

Jął bez myśli przewracać karty swojej księgi
w poświst wiatru wsłuchany, który beznadziejną
pieśń mu zawodził. Patrzył i czytał — kolejno
dowody bożej mocy, wielkości, potęgi, —
dalej zdania o duchu, ludzkich namiętnościach,
cnotach, szczęściu, wolności, o błędach i złościach...

Czytał długo, aż nagle drgnął i podniósł czoło:
Co to? — »Mędrzec powinien patrzyć na bieg świata,
jak Bóg patrzy, krom czasu, bo czas tylko szata,
którą Wieczny śmiertelnym zakrył przyczyn koło,
lecz w wieczności jest jądro i byt prawy rzeczy,
co być może, być musi: Bóg ma wszystko w pieczy«,

Co być może, być musi! — A więc cóż, że jeszcze
wiele, wiele dni minie, nim zabłyśnie słońce?

Cóż to znaczy? — co znaczą marne lat tysiące,
co — dzisiejsze upadki, co — boleści dreszcze,
cóż znaczy, że za prawdę cierpi dziś tak wielu?
wszak świat musi dojść wreszcie do świętego celu!

Przyjdzie, przyjdzie to boże królestwo na ziemi,
okres szczęścia, wolności, bo prawda zwycięża,
choć powoli, lecz pewnie, bez mieczy, oręża,
jako światło, co z niebios strugami jasnemi
na świat spływa! A kiedy przyjdzie? — wszystko jedno!
dość, że przyjdzie i ludzkość uszczęśliwi biedną.

Tak być musi, tak będzie! Wiatr huczał na dworze,
i rozwiewał po świecie suche, żółte liście;
ale mędrzec spokojnie słuchał wiatru, w świście
jego czując potężne, święte tchnienie boże, —
i szeptał tylko patrząc w swoje życie żmudne:
»Jednak wszystko, co wzniosłe, rzadkie jest i trudne...«

NAD MORZEM.

1896.

Zachód słońca nad morzem, ZIEMOWID i BOJOMIR wchodzą.

ZIEMOWID

Chodźmy tędy...

BOJOMIR

Zazdroszczę temu rybakowi,
co nam drogę wskazywał. Jakiż spokój mieszka
w jego duchu... Szczęśliwy, gdy rybę ułowi —
i modli się przy pracy...

ZIEMOWID

Na prawo! Tu ścieżka.

BOJOMIR

Widzę. Idąc do domu dawał nam przestrogi,
by nie chodzić po płaskim brzegu w czas przypływu.

ZIEMOWID

Wszak na skałach stoimy teraz.

BOJOMIR

Nasze nogi
są na skałach... Nie mogę, myśląc, wyjść z podziwu,
ile jednak szczęśliwszy jest od nas ten człowiek!
i — mądrzejszy. Wie wszystko, co mu wiedzieć
trzeba...

ZIEMOWID

Potrzebuje nie wiele.

BOJOMIR

Wie, kto podparł nieba
i zagadka mu nigdy snu nie spędza z powiek...
On zna drogę.

ZIEMOWID

Czy ty jej nie znasz?

BOJOMIR

Nie znam, panie.

ZIEMOWID

Ja cię wiodę...

BOJOMIR

Już długo...

ZIEMOWID

Wskazałem ci drogę.

BOJOMIR

Droga nasza nad morzem... brzeg płaski. Ja trwogę
czuję przed tym przypływem, co na oceanie
gdzieś rozpuścił swą grzywę i pędzi...

ZIEMOWID

Mów, proszę,
bez przenośni. Kwiecistych wyrażeń nie znoszę.

BOJOMIR

Daruj, mistrzu. To morze ogromne przed nami
myśl mą ciągnie. Zmęczony dziś jestem. Za długo
szliśmy... Dziwne jest morze z tą pian białych smugą.
Czarne fale, jak konie z białemi grzywami,
na brzeg skaczą, a ziemia uderzona stęka;
zda się, coś tam w jej wnętrzu kruszy się i pęka, —
skały drżą, a to drżenie od skał wchodzi we mnie
tak, że nie mam od stopy aż do szczytu czaszki
cząstki, coby nie drżała trwogą potajemnie...

ZIEMOWID

Dziecko! wicher się zerwał i morze igraszki
z nim wyprawia!

BOJOMIR

Dlaczego?

ZIEMOWID

Słońce już zachodzi...

BOJOMIR

Tyle razy przedemną zachodziło słońce
na chmur kirach — i w blasków czerwonych powodzi,
tyle razy — a jednak dni ubiegłych końce
nigdy takie nie były... Nad tym morskim brzegiem,
na Alp szczytach, na stepie i na oceanie,
na arktycznych płaszczyznach ubielonych śniegiem,
błądząc z tobą, patrzyłem na słońca konanie;
nieraz twarz mi się stała czerwona od łuny
z jasnych niebios bijącej, nieraz z echem grzmotu
przy zachodzie lecące nad słońcem pioruny
widziałem: ale nigdy ni głowy zawrotu,
ani oka mrugnięcia nie spostrzegłeś u mnie...
Dziś się boję. Wspomnienia, czy przeczucia wieszcze,
mgłą niejasną mnie naszły i obległy tłumnie...

ZIEMOWID

Co? przeczucia? Więc wierzysz w takie baśnie jeszcze?
Tyle lat cię po ziemi wodziłem za sobą,
wszystkie tajne odkryłem ci świata sprężyny,
wszystkie śruby i kółka machiny przed tobą
rozłożyłem — i żadnej śród wieków godziny
niema tajnej dla ciebie, — gdzież śród ludzkiej wiedzy
miejsce jest dla przeczucia?

BOJOMIR

Nie wiem, mistrzu...

ZIEMOWID

Baśnie!
Niechaj dziecku piastunka o przeczuciach gada,
dziecko może tą bajką kołysane zaśnie;
człowiek jednak, co tajnie całej ziemi bada...

BOJOMIR

Bada tylko! — czy zbadał, to jeszcze pytanie...
Łanem idąc, o mistrzu! nie przeoczaj miedzy!

ZIEMOWID

Wątpisz?

BOJOMIR

Wątpię.

ZIEMOWID

Już widzę — szkoda było czasu,
mózg twój prawdy ogromu objąć nie jest w stanie.
Marzycielu! natura ciągnie cię do lasu!

BOJOMIR

Mistrzu! słyszysz!?

ZIEMOWID

Co znowu?

BOJOMIR

Jaki jęk na wodzie!

ZIEMOWID

Fala o skał krawędzie rozbita tak dzwoni.

BOJOMIR

Krew na falach śród piany!

ZIEMOWID

O słońca zachodzie
promień krwawo się łamie, ślizgając po toni.
Zali mam ci powtórzyć o światła łamaniu
wykład?

BOJOMIR

Niegdyś twój wykład był mi księgą świata,
był mi życiem i duszą w dni moich zaraniu —,
dziś pragnę czegoś więcej!...

ZIEMOWID

Czego?

BOJOMIR

Ty machinę
pokazałeś mi wielką, — chcę poznać sprężynę,
która koła porusza. Czekam na to lata...
Ty wiesz wiele, lecz na to jedyne pytanie
głuchy jesteś, mój mistrzu...

ZIEMOWID

Takie dociekanie
pierwszych przyczyn — rabinom zostaw. Dziś nauka
chce to poznać, co widzi, a bogów nie szuka!

BOJOMIR

»Zaszło słońce! — wołają astronomy z wieży,
»ale dlaczego zaszło, nikt nie odpowiada...«

ZIEMOWID

Otóż to korzyść, gdy się z poetami gada!
Wszakże dziecko wie o tem: ekliptyka leży
tak do osi słonecznej nachylona...

BOJOMIR

Znam to,
ale to nie wystarcza. Pragnę czegoś więcej.
Serce bije mi dziwnie — i codzień goręcej — —
ach! to serce przeklęte! Zniszcz je, mistrzu. Tam to
rodzą się te pytania, o które ty gniewny,
tam tęsknota jest duża i żal dziwnie rzewny...
Czy wytłumaczysz, mistrzu, nauką me serce?

ZIEMOWID

Obłęd widzę u ciebie już w pierwszej iskierce —
chroń się!

BOJOMIR

Obłęd?! Tęsknota pali mię ogromna —
i myśl moja szalona, twych nauk niepomna,
mgliste skrzydła rozwija i za światy leci;
leci w ciemność, bo światło ją zmęczyło zimne,
leci w chaos, od twego martwego porządku
uciekając nad ziemię — w mgły marzenia dymne:
tam w bezmiarze, w przestworzu bez końca, po-
czątku,
ponad wiedzą twą, mistrzu! tam życie prawdziwe!

ZIEMOWID

Romantyku! szaleńcze! wieczna z tobą bieda!
Tak, tak! »Dziady« czytałeś, »Fausta«, »Manfreda«,
a mówiłem: daj pokój, bo to zaraźliwe!
Wiedzy chciałeś? i prawdy? — w baśniach się nie
mieści.
Zostaw dzieciom i głupcom szalone powieści:
prawda jedna jest tylko — jam ci ją pokazał!

BOJOMIR

Mistrzu! jednak tajemnych tyś pragnień nie zmazał
z mego serca. Przyszedłem zgłodniały do ciebie:
głodny dzisiaj tu stoję! — i pono nie będzie
w duszy mojej pokoju — i zawsze i wszędzie
pustka, rozpacz!... O! może, gdy śmierć mnie po-
grzebie...

ZIEMOWID

Głupstwo!

BOJOMIR

Pragnę spokoju — choćby nawet śmierci!
Kiedy kości spróchniałe w grobie czerw przewierci,
kiedy oczy mi wyżre piasek, i to serce
wiecznie głodne i w wiecznej z rozumem rozterce
w garstkę błota się zmieni...

ZIEMOWID

Wtedy nicość będzie.
Nie odczujesz już nawet szczęścia tej nirwany!

BOJOMIR

Nicość? dobrze! Byleby duch mój skołatany
burzą pragnień powstrzymał się w szalonym pędzie,
którego końca niema, jak i niema celu!

ZIEMOWID

Głupstwa prawisz! Od lat ci już powtarzam wielu,
że jedynem dla myśli zadaniem — poznanie
tych rzeczy, które widzi oko.

BOJOMIR

Znam je, panie!

ZIEMOWID

Masz więc dosyć —

BOJOMIR

Nie dosyć!

ZIEMOWID

Nic nie poznasz więcej,
bo nic niema prócz tego, co pod zmysły pada.

BOJOMIR

Ja chcę więcej!

ZIEMOWID

Na darmo!

BOJOMIR

O, mistrzu! to zdrada!
Kiedym przyszedł do ciebie w ufności dziecięcej,
tyś powiedział, że wiedza ludzka nie ma granic,
że świat cały, jak księga, stoi nam otworem —
jam ci wierzył... a dzisiaj? Wszystko na nic! na nic!

ZIEMOWID

Nie z człowiekiem, lecz z dzieckiem — widać —
mówię chorem;
ty gorączkę masz, dziecko? Majaczysz w malignie!

BOJOMIR

Jedną tylko odpowiedź masz na me pytania —
to szyderstwo! Gdy we mnie serce się rozrania,
gdy skroń pali a wewnątrz mózg krzepnie i stygnie,

gdy się boję, gdy płaczę, gdy pytam i pragnę —
ty szydzisz! Mistrzu! mistrzu! jam cię przekląć gotów!

ZIEMOWID

Więc przeklinaj!

BOJOMIR

O, mistrzu! daj mi skrzydeł, wzlotów,
które w niebo mnie niosły niegdyś!

ZIEMOWID

Ja nie nagnę
świętej prawdy dla ciebie. Ty, jak Ikar nowy,
w słońce latasz, pytając: co to tam za świeca?

BOJOMIR

A! przeklęty, kto w duszy pragnienia roznieca,
niezdolen ich nasycić!

ZIEMOWID

Do mnie? temi słowy!
Jam dotrzymał, com przyrzekł. — Znasz ziemię, znasz nieba...

BOJOMIR

Ha! ha! tyś potwornego dał głodnemu chleba —
chleba, co żre jelita i głód jeszcze wzmaga!

ZIEMOWID

Hejże! ty mnie obrażasz! — hejże! ja cię skarcę!

BOJOMIR

Ty mnie skarcisz! I czemże? — czy słowem, czy okiem
skarcisz, panie? — Dziecięciu powiadali starce,
że gdy w Saïs przed człekiem błysła prawda naga,
on do stóp jej padł martwy, rażon tym widokiem!
Twoja prawda zabijać nawet nie ma mocy,
twoja prawda, jak próchno, świeci tylko — w nocy! —
lecz przy świetle słonecznem — hej! — te blaski [trupie
próchnem tylko!

ZIEMOWID

Dość tego. Te gadania głupie
już mnie nudzą.

BOJOMIR

Więc ty mów, o, mistrzu! nauczaj!
ja cię słucham w pokorze! Ty wielki! rozumny!...
O! — pamiętam, gdym pierwszy raz ciebie obaczył!...
Park był stary... wśród krzewin szemrał srebrny ruczaj —
wokół kute z kamienia posągi, kolumny...

Tyś stał zimny — jak zawsze... Na mnieś pojrzeć
raczył,
a ja drżałem... Na skroniach twoich i na czole
blask mi świtał mądrości, jak rogi Mojżesza,
za któremi przez morze w noc szła ludu rzesza...
I poszedłem! poszedłem, ja głupie pacholę!
za tym blaskiem zwodniczym, za tem czołem dumnem,
za tem okiem, co zdało mi się pruć błękity!
I dokąd ty mnie zawiódł! — mów! dokąd?

ZIEMOWID

Na szczyty
Wiedzy!

BOJOMIR

O tak! na szczyty... kędy skrzydłem tłumnem
zwątpienia, jakby sępy, latają nad głową!

ZIEMOWID

Jam cię wątpić nie uczył.

BOJOMIR

Ty wątpić nie uczył — —
tak jest... tak, pewno! Słuchaj; — Krak smoka utuczył
smołą, siarką i ogniem, — pod skałą zamkową
była woda — smok pije... upił się i pęka...

Krak się śmieje: O smoku! po cóż ci ta męka!
wszak jam pić ci nie kazał!

ZIEMOWID

Choć do domu, synu..

BOJOMIR

Baśń to! prawda? — baśń stara! Mam ją nie od ciebie,
taką baśnią piastunka dzieci w sen kolebie —
O! ty baśni nie prawisz! — to dobre dla gminu! —
o! ty wielki i mądry!

ZIEMOWID

Choć do domu, dziecię,
jesteś chory.

BOJOMIR

Do domu? proszę! — gdzież na świecie
jest mój dom? Niegdyś miałem dom, lecz teraz błądzę...
Tyś mię wywiódł w pustynię, fałszywy proroku!

ZIEMOWID

Zali kiedy napoju przy moim ci boku
brakło?... Daj rękę. Tu cię zostawić nie mogę,
daj mi rękę, — wszak ja ci krzywdy nie wyrządzę...

BOJOMIR

Zostaw! puść mię! ja nie chcę! — każdy w swoją
drogę...

ZIEMOWID

Słuchaj, dosyć już głupstwa! Jesteś rozdrażniony
i sam nie wiesz, co mówisz. Chodziłeś po świecie
ze mną, a jam cię wodził za rękę, jak dziecię —
i dziś odejść chcesz, dziecię? W któreż pójdziesz
strony,
jakie słońce ci błyśnie, gdy ci mego braknie?

BOJOMIR

Nie wiem! nie wiem! Wiem tylko, że ma dusza
łaknie
więcej, niż ty dać możesz!

ZIEMOWID

Pójdź! — świat ci pokażę...

BOJOMIR

Świat pokażesz? — a »rzeczy, co są zewnątrz nie-
ba?«

ZIEMOWID

Platonowi daj pokój: raz mieć rozum trzeba;
wieleś jeszcze nie widział na ziemi obszarze.

BOJOMIR

Świat pokażesz! — tem słowem tyś mnie wiódł po
ziemi,
jak czarownik, przez rzeki, góry i doliny;
świat przeszedłem, ocean przepłynąłem siny,
— czy już mistrzu? — pytając. Tyś usty zimnemi
odpowiadał: nie jeszcze! jeszcze świata wiele! —
Aż wreszcie, gdym zapragnął zajrzeć w serce świata:
»Niema serca!« odrzekłeś! Więc jest tylko szata
i nic pod nią? i nawet ducha niema w ciele,
które widzę!? Jam zadrżał, zląkł się i osłupiał,
bo świat cały przy tobie w moich oczach strupiał!

ZIEMOWID

Z tobą ładu nie dojdę! Myślałem, że wiedza
marzycielskie mgły w mózgu twoim już przerzedza,
ale darmo, jak widzę! Choćbyś zjadł sto książek,
będziesz głupi, jak byłeś — jak chiński posążek
scholastycznym pokostem pociągnięty z wierzchu,
śmieszny we dnie, a dzieci straszący o zmierzchu!

BOJOMIR

O! szydź, mistrzu! Jam dawniej rękę twą całował
i win niepopełnionych serdecznie żałował,
kiedyś zgromić mnie raczył! — Lecz dzisiaj przed
tobą,

mistrzu! kolan nie zegnę! Tyś mnie zwodził kłamnie —
i ty dzisiaj — czy słyszysz? — ty dziś śmieszny
dla mnie
z całą wiedzą, z mosiężnem tem słońcem nad sobą,
w które wierzyć mi każesz!

ZIEMOWID

Oto jest zapłata
za mą pracę i trudy, za to, żem pół świata
oczom twoim pokazał!

BOJOMIR

Tylko pół!...

ZIEMOWID

Niewdzięczny
jesteś dla mnie!

BOJOMIR

Tyś winien! bo czemu miesięczny
promień słońcem nazwałeś?

ZIEMOWID

Najsrożej cię skarzę,
bo samego zostawię na ziemi obszarze!
Szukaj ducha w przyrodzie i na niebie Boga,
pokaż, dokąd zawiedzie cię półgłówków droga!
Bądź zdrów!

BOJOMIR

Bądź przeklęty!

ZIEMOWID

Tak się żegnasz ze mną?

BOJOMIR

Odejdź! odejdź, bo w oczach mi przy tobie ciemno!

ZIEMOWID

W mózgu ciemno, nie w oczach... Mówię: do widzenia!
Jutro przyjdziesz znów do mnie prosić przebaczenia...

Odchodzi.

BOJOMIR

Poszedł zatem! sam jestem... Nie przyjdę, nie przyjdę!
po co iść mi do niego! Teraz na świat wyjdę,
jak z więzienia, — na góry pójdę i na morza,
a sam jeden — a szukać będę w świecie ducha,
bo mi widna tu w sercu jakaś otchłań boża,
w której świat się roztapia i której świat słucha!...
Na las pójdę, a kiedy las ciemny zaszumi
nad mą głową, wieczorne śląc Bogu pacierze,
ja uklęknę, a nikt już szyderstwem nie stłumi
uczuć w sercu, ni światu uroku odbierze!

Dość już nauk mam trupich! Dość zimnej rachuby!
Świat maszyną ma tylko być? kółka i śruby? —
nie! nieprawda! tu życie wszędzie! życie! życie!
duch i życie!

Duch... życie...

Echo odpowiada!...

Cóż jest echo? Mój własny głos po fal błękicie
leciał, aż gdzieś o skały dalekie uderzył —
i głos swój własny słyszę — a wnet bym uwierzył,
że to skały tak mówią i morze...

O biada!

Jeśli wszystek duch w świecie, jeśli głos w nim wszystek,
którym szumi wiatr, morze, drzew wiosennych listek —
jeśli wszystko to tylko jest odbicie słowa,
które z piersi człowieka wyszło w świat rzucone,
i powraca, skąd wyszło? Jeśli człowiek chowa
w swojej myśli gotowy świat, a w świecie szuka
własnej myśli odbicia?...

I jeśli nauka

tego mistrza prawdziwa?...

Oto jest wzburzone

morze, jak otchłań wielka i straszna przedemną —
a to morze jest martwe... Tam na górze ciemno,
gwiazdy tylko, jak oczy świata, lśnią, rozwarte —

lecz te gwiazdy są martwe... Kiedy wiatr powieje,
na wiszarach nad morzem szumią czarne knieje,
ale drzewa w nich martwe...

I cóż życie warte?

Wieczna złuda i kłamstwo przed swą własną duszą...
Ha! przed duszą! — mistrz mówi: duszy w ciele
niema!
Więc żyć — po co? Wszak celu życia także niema!
Wszystkie rzeczy tak idą naprzód, jak iść muszą;
więc ja także być muszę wiecznie obłąkany,
więc ja także zwątpieniom na pastwę oddany —
i nie znajdę na świecie nic, kromia zawodu,
ani w życiu nic, kromia wieczystego głodu,
wiecznych pragnień i cierpień bez ulgi i końca!
Kłamie serce w mej piersi i to czucie wieszcze,
które mówi, że głód mój nasycony będzie,
które mówi, że dusza się doczeka słońca —
ha! nieprawda! Noc głucha i zawsze i wszędzie,
a w niej pragnień gorączka i cierpienia dreszcze —
i tak zawsze — tak zawsze...

Nie! wszak w mojej mocy

myśl mą pogrześć w tak strasznej, w tak bezden-
nej nocy,
w której ni pragnień nawet niema, ni cierpienia,
w której wszystko, co żyło, w wielkie Nic się
zmienia:

śmierć mnie zbawi...
Śmierć cicha...
Oto na wiszarze
stoję — a tam jest morze ogromne podemną:
wzniosę ręce i rzucę się w tę otchłań ciemną —
i już koniec, już koniec...
Jak to morze ciche...
Wiatr już ustał i na fal wzburzonych obszarze
spokój wielki i senny...
O! gdyby to człowiek
mógł ucichnąć, jak morze to, i z serca pychę
zrzucić, co spokój spędza mu z bezsennych powiek,
każąc gonić za prawdą...
Prawda! — Kto ją poznał?
i skąd ludzie pojęcie bodaj jakieś mają,
że jest prawda na świecie, jeśli jej nie znają?...
Czy zna boleść, kto nigdy cierpienia nie doznał?...
czy zna szczęście, kto nie był chociaż raz szczęśliwy?
A my życie skąd znamy, gdy świat ten nie żywy?
Więc w nas tylko jest życie, a my je rzucamy
na te drzewa i morze, niebo, skał odłamy?...
Skądże mamy to życie, gdy go niema w świecie?
Wszakże człowiek ze świata, jako z matki dziecię,
wyszedł, jego krwią żyje, tchnie jego oddechem—:
więc i życie człowieka — życia świata echem!
Świat jest żywy!

Świat żywy!

O! nad ciche morze

księżycowe srebrzyste rozpala się zorze;
światło wstaje i leci i fal grzbiety muska —
i po morzu lśni całem fal srebrzonych łuska...
Te niedawno wzburzone i krwawe bałwany,
potem w ciszy zastygłe, czarne i bezdenne,
teraz błyszczą w księżycu, jak marzenie senne —
i po ziemi się całej ściele płaszcz świetlany!...
Świat jest piękny! —

Żyć warto!

O, ziemio! o, morze!

ja was kocham i czuję, żem jest z wami jedno,
i otucha mi słodka spływa w duszę biedną,
a myśl zgięta, złamana, znów leci w przestworze,
znowu skrzydła ma orle i oczy sokole —
leci w gwiazdy, nad gwiazdy, wciąż wyżej i wyżej,
zda się, świata nie starczy dla mej myśli chyżej,
aż na wieczności snadź gdzieś wzleci pole!
Wszechświat cały, jak w morzu, w mej myśli się nurza,
i w niej szumią te gwiazdy, komety i słońca;
przestwór cały objąłem od końca do końca,
jako wicher płomienny, jak orkan, jak burza —
świat jest we mnie!

Ja w świecie!

I widzę i czuję,
jak świat cały niezmierny krąży i wiruje,
a duch życia jak strumień błyskawic wezbrany,
gwiazd tysiącem po niebie lśni się i rozpryska,
mleczną drogą się wije i słońcami błyska,
po mgławicach rozrzuca komet huragany,
w ziem miljony się wciela i stroi się szatą
z blasków, dźwięków, barw, woni, świetną i bogatą!
A nie ślepo, bezwiednie ten duch się przejawia,
nie przypadkiem zapala słońca, ziemie stawia:
bo wszak w coraz to wyższe przeradza się twory,
rozpryśnięty po niebios bezdennych przestrzeniach,
w ciągłych zmianach i ruchu i wiecznych wciele-
niach
w jednę tęczę liczniejsze wciąż zbiera kolory —
a zebrane rozrzuca znów i znowu dzieli,
znów cieniuje, układa, znowu wiąże w tęczę,
jednę w tysiąc rozłamie i jasne obręcze
zczepia razem; wstępując tak w przemian topieli
coraz wyżej i wyżej, wciąż się doskonali,
światłem coraz liczniejszem i czystszem się pali!
Czyż przypadkiem ten postęp życia w bezgranicza,
gdzie, jeżeli co pada, jeśli co umiera,
to nad grobem pełniejsze życie się otwiera?
Czyż przypadek bytowi zgodności użycza,
że te słońca nie trącą się i razem krążą,

nowe rodzą i z niemi w systemy się wiążą?
O! myśl włada w tym świecie! — W tym świecie
myśl włada
i ze siebie zrodzony świat prowadzi w wieczny
postęp, w którym krok nigdy nie stawia się wste-
czny,
ani, co raz się wzniosło, kiedy na dół spada!
Myśl króluje!
Myśl boża...
A ten ognik lichy,
który w mózgu się moim pali, myśl ta biedna,
marna, a jednak zdolna wszechświatów przepychy
w łonie swojem zamykać i przestrzeń bezedna
blaskiem swoim wypełniać — to iskra płomienia,
co w bezkresy wszechżycia moc swą rozprzestrzenia,
to jest promień słoneczny, który w dżdżu kropelce
załamany na barwy rozszczepia się świetne...
I ku onej światłości, swojej rodzicielce
myśl ma dąży z powrotem przez nieb łany kwietne;
ptakiem w górę się wzbija, coraz szersze, dalsze
zataczając w błękicie kręgi nadobłoczne
i na stopnie rozwoju coraz doskonalsze
pnąc się ciągle, wypływa nad niziny mroczne,
coraz więcej w swe łono nabierając świata
i ku szczytom zawrotnym rwąc go z sobą, wzlata
coraz wyżej i wyżej — z słońc na nowe słońca,

z prawd na prawdy, ku światłu, bez wytchnienia,
aż do śmierci... [końca,

Do śmierci!?

Ha! czyż śmierć nie przeczy
postępowi i świętej myśli samowładztwu?
Czyż nie pada podcięty bujny kwiat człowieczy
z wonią myśli w zgniliznę i na łup robactwu?
Gdzież jest ciągłość rozwoju, co się życiem zowie?
Więc ten łańcuch w tem miejscu rozerwany pryska
i wspaniałość swą kończy człek w cmentarnym rowie,
gasząc iskrę z świętego skradzioną ogniska?...
Nie! jeśli wieczny postęp jest prawem wszechświata,
to nie może w proch padać to, co w niebo wzlata!
Wszakże cały świat w moim się rozwija duchu,
i gdyby myśl ma gasła wraz z gnijącem ciałem,
on by musiał się wstrzymać w postępowym ruchu
i wstecz cofnąć w pościgu za swym ideałem!
Nie! dobytek mej myśli wyzwolonej z ciała
nie przepadnie! wieczysty, jak te słońca wieczne,
te otchłanie gwiaździste i te drogi mleczne,
których blask w mojej myśli uświadomion pała!
Tak jak promień, co z słońca wybiegł raz, nie ginie,
chociaż słońce w ciemności zagaśnie głębinie,
lecz gwiazd coraz to nowych czepiając się, łączy
w nieskończonej wędrówce światy oddalone,
a w przemianach tysiącznych krąży, drży i leci,

wszędzie życie i siły różnorodne nieci
i kropelką jasności przez eter się sączy,
rozpędzając ciemności jego niezgłębione:
tak i myśl ma, choć źródło jej śmierć już wysuszy,
pójdzie — świętej jasności mała kropla jedna,
w przepaściste blask zlewać wszechświatów bezedna,
aż się kiedyś pod deszczem tych kropel rozkruszy
cieniów twierdza ostatnia i świat duchem stanie,
postać bytu najwyższą, czystą, samowiedną
osiągnąwszy i z Tobą znów w przedwieczne Jedno
spłynie, Boże Wszechojcze, wiekuisty Panie,
Myśli światem władnąca!

OSTATNI PROROK.

1898.

Już się ma pod koniec staro-
żytnemu światu...

Tedy boży duch we śnie uderzył mnie w głowę,
a gdym oczy otworzył przelękniony srodze,
zobaczyłem przed sobą zjawisko ogniowe
i słyszałem głos grzmiący w powietrza pożodze:
»Powstań! dosyć już spałeś! oto Ja przychodzę!«

Więc zerwałem się z łoża, trąc oczy oślepłe
zbytnim blaskiem i widma postacią rumianą;
a gdy serce w mej piersi z przestrachu zakrzepłe
bić znów jęło, pytałem, zginając kolano:
— Co zacz jesteś, o Panie! i jakie Twe miano?

»Jam jest ten, który jestem! — grzmot mi w głos odpowie —
Jam jest źródło i ujście dziejowej powodzi,
Jam jej łoże, a Moi straszni Aniołowie
wiozą globy i ludy morzem krwi — na łodzi,
co nie tonie, choć nigdy brzegu nie dochodzi!

»Jam jest potop, co wszystek żywot w lot wytraca,
Jam jest ogień i siarka dżdżąca na Gomorrę,
Jam jest ziemi trzęsienie, Jam mórz tajna praca,
które zębem spienionym gryzą skał zaporę,
Jam jest orkan, a z gromów swoją chwałę biorę!

»Jam jest wicher, co zrywa kłos nieźrały plemion;
Jam wędzidła zdjął dzikim koniom Batu-Chana,
Jam szedł z burzą niszczącą u Atylli strzemion,
Moją ręką ćma ludu z więzów rozkiełzana
pod gilotyn nóż kładła króla i kapłana.

»Surmy w boju ryczące grają Moje imię
i Ja słońca zapalam, kiedy naród ginie,
Ja się jawię w burzących dział siarczanym dymie
i Ja miasta kwitnące zamieniam w pustynie —
a zaprawdę! iż wszystko dobre jest, co czynię!«

Tak głos mówił, strząsając z włosów złote strzały
w powietrze, które w krąg się paliło ogniście, —
a gdy zamilkł, jam usta otworzył struchlały
i drżąc sercem z przestrachu, jak jesienne liście,
wyszeptałem: — O Panie! co znaczy Twe przyjście?!

Więc On na to: »Przyszedłem przypomnieć, że je-
stem,

bo snadź dzisiaj nie wiecie, chociam jest tak blizko,
że już jęczy wiatr orlich skrzydeł Mych szelestem
i już przyszłych łun dymem krwawi słońce, nizko
z nieb patrzące na trupów jutrzejszych siedlisko.

»Bo, zaprawdę, zliczyłem wszystkie wasze zbrodnie,
podłość waszą, jak błoto, rzuciłem na szale,
a iż śpicie, rozniecę nad wami pochodnię,
strzechy wasze, jak wici okropne, zapalę,
wstrząsnę ziemię i góry na płomienie zwalę!

»Idę, ale wy głusi, nie słyszycie kroku; —
stawiam nogę, — drży ziemia i walą się miasta;
wzdymam wody, ślę gromy, zimą skracam roku:
czasem dziecię się zlęknie, poroni niewiasta, —
lecz wy śpicie, choć potop wokół was już wzrasta!

»Sen wasz gorszy od tego, w którym ciało leży,
a duch błądzi po świecie! Posnęły w was duchy
snem kamiennym, a ciało wyuzdane bieży
w świat i w zbrodni nikczemnych zakute łańcuchy
tańczy dziko. Ja słyszę jęk dusz waszych głuchy.

»Lecz zaiste, nie poślę dziś do was proroka,
by was zbudził i krwawe wam pokazał słońce,
ni komety, co rózgi rozplótłszy z wysoka,

lud przeraża i wieści dni przeżytych końce,
bo niegodni jesteście, bym wam słał obrońce.

»Wpadnę na was, jak lwica na bezbronne stada,
wstrząsnę wami, gdy we śnie będziecie i grzechu,
podczas uczty pijanej krzyknę na was: biada! —
śmierć pokażę wam bladą śród pląsów i śmiechu,
na modlitwę nie dając czasu ni oddechu«.

— Panie! — jękłem, — litości! miłosierdzia, Panie!
Dozwól jeno, a pójdę i ludowi powiem,
żeś jest blizko i gniewny, — a pokutne łkanie
przejdzie rzeszą, zobaczysz, jak wicher sitowiem!
jeno wstrzymaj dłoń, co jest gromem i ołowiem!

»Pójdziesz! — krzyknął głos straszny, — pójdziesz,
lecz nie po to,
abyś słowa Me miotał przed czcicieli brzucha
znikczemniałych, jak perły przed wieprze i złoto!
Lud nie słuchał proroków większych; nie usłucha
ciebie, lotu małego i małego ducha!

»Niegdyś wieszcze wzbudzałem i słałem proroki,
by lud trwożąc, zdzierali mrok z ócz jego gruby;
a gdy nadto z Mej ścieżki zeszły wasze kroki,
słałem Moje ogniste z mieczami Cheruby,
wieszcze klęsk i nieszczęścia i proroki zguby.

»Miałem niegdyś na służbie orły i sokoły,
które z łupem w podniebne wznosiły się szlaki;
lecz wy dzisiaj wzrok macie ku ziemi jak woły,
i napróżno bym puszczał w błękit Moje ptaki —
wy wróżb lotu ich pojąć niezdolni, — robaki!

»Dziś już nie czas grzesznika wzywać do pokuty
ni wstrzymywać słabego, co w otchłań się słania
Czeladź moja gotowa już i sierp ukuty:
oto przyszła na nędzne pora winobrania —,
lecz chcę sroższą uczynić mękę ich konania!

»Więc nim grom Mój z łańcucha ognistego spuszczę
zło wam ześlę największe: fałszywe proroki,
by trucizną słów swoich obłąkali tłuszczę
i nad bezdeń przepaści przywiedli jej kroki
świstem bicza krwawego od ludzkiej posoki!

»Rozum przez was spodlony z waszych mózgów
wydrę,
tak iż wierzyć będziecie fałszowi, wy, którzy
nie wierzyliście prawdzie, — a zwątpienia hydrę
puszczę na was dopiero, gdy się już wynurzy
twarz Ma straszna z piorunów nad wami i z burzy!

— Po coś tedy mnie zbudził? — zakrzyknąłem
wściekle,

kiedy rozpacz ma wzięła górę nad przestrachem.
— Zaliś przyszedł, jak szatan, dręczyć mnie w tem piekle
i urągać słabemu, który śpi pod dachem
już walącym się, mówiąc, że zginie wraz z gmachem?

— Czego chcesz!? — Śmiech jedynie był mi odpowiedzią,
śmiech tak straszny, że mroził wszystką krew w mych żyłach,
i zasię głos słyszałem dzwonów grzmiący miedzią:
»Ciebiem wybrał, boś mały na duchu i siłach,
i kąsając, sam padniesz, jak pies — na mogiłach!«

I wyciągnął nademną ognistą prawicę,
a mnie ciężar jasności jej przygiął do ziemi —
i widziałem nad sobą głodną błyskawicę
w krąg gryzącą powietrze zębami złotemi,
i byłem jak ci ludzie, których grom oniemi.

»Kładę na cię złowieszcze Moich natchnień brzemię
i przekleństwo Mej łaski rzucam na twą głowę!
Idź, ostatni — fałszywy proroku, na ziemię,
a za tobą w ślad pójdzie powietrze morowe
i przedśmiertelnej rozpaczy szaleństwo niezdrowe!

»Zaprawdę! dziś Mi trzeba twych poziomych lotów,
słów bezsilnych, co w niebo nie umieją skoczyć!
A nie pytam cię nawet, czyś do drogi gotów,
bo nie idziesz Mnie wieścić, ni krwią plemion bro-
czyć,
lecz jak robak — podłości dom spróchniały toczyć.

»Idź więc! kłam i przed śmiercią śpiewaj nędznym
życie,
aby tańcząc na grobach ohydnie konali;
śpiewaj ślepym płomienne gwiazdy na błękicie,
których nigdy nie zoczą, aby krwią płakali,
błądząc, łodziom podobni bezsternym na fali.

»Wieść sen cichy pod strzechą zajętą pożogą,
mów o pierwszem serc biciu — frymarczącym sro-
mem,
o ojczyźnie tym, którzy ujrzeć jej nie mogą,
o rodzinie — tęskniącym napróżno za domem,
o zwycięstwie — upadłym pod przemocy gromem!

»Idź! skazanym na wieczne boje bez zwycięstwa
ty prorokuj spoczynek i wieczorną ciszę,
która nigdy nie będzie zapłatą ich męstwa,
by im z ramion zwątlałych leciały berdysze,
jak liść z drzewin, gdy wicher Mój lasem kołysze.

»Chorym nieuleczalnie mów o wonnych łąkach,
kędy nigdy nie będą mogli zrywać kwiatów, —
a nędzarzom zgłodniałym w norach — o pająkach
od jarzących świec jasnych, miękkości szkarłatów,
sytym brzuchu bezczynnych i... porządku światów!

»Niewolnikom — o życiu beduinów dzikiem,
przesyconym — o błogim dreszczu pożądania,
starcom z czaszką bezwłosą i wyschniętym szpikiem
mów, jak pierś się dziewicza w uścisk lubo słania:
śpiewaj słodycz i rozkosz i szczęście kochania.

»Nieomylność i rozum — w oszalałym tłumie,
sprawiedliwość wieść, kędy przemoc się panoszy:
a spodlonym powiadaj o szlachetnej dumie,
a bezsilnym, co krzywdę cierpią, o rozkoszy
zemsty, która ciemiężcom z powiek snu nie spłoszy.

»Nieszczęśliwym zatruwaj beznadziejną dolę,
szalejących podniecaj w bezmyślnym obłędzie,
a zbrodniarzom pokazuj nowych zbrodni pole, —
a to ci mówię zasię: lud ci wierzyć będzie
sądząc, że — kłamca — boże niesiesz mu orędzie.

»Te są Moje dziś do was słowa, podły ludu
i na zgubę skazany! To jest moje brzemię,

które kładę na ciebie, proroku, co cudu
nie uczynisz, ni rzucisz kiedy bujne siemię
z krwi lub ducha w przeklętą i niepłodną ziemię.

»Wieścić będziesz, co było, nie mówiąc, co będzie,
by z obliczem na przeszłość odwróconem, fala
ludu w ślepej rozpaczy gnała nad krawędzie
przepaści, kędy odmęt zguby się przewala
a już niema Anioła, co gromiąc, ocala.

»Jeno nie waż się mówić o burzach, co błysną,
by snać podli z przestrachu nie zmarli przed czasem,
kradnąc łup Memu gniewu. Ręce nie obwisną
Mym Cherubom przy pracy, gdy z gromów hałasem
pójdą, jak wicher halny, trząść spróchniałym la-
sem!

»Idź, — Ja czekam. Niech wszystko mąci się, szaleje,
niechaj zbrodnie potworne, bo podłe się mnożą,
a ludzkość w czarną fałszu zabłąkana knieję,
strasznej łuny przedśmiertnej okrwawiona zorzą
nie przeczuwa, że rękę ma nad sobą bożą.

»A gdy obłęd ostatnich już granic dosięże,
kiedy szał już opęta wszystkie ludzkie mózgi:
wtedy gromy po niebie rozsypię jak węże

i pod słońcem zaćmionem skier roztliwszy rózgi
z hufem Aniołów przyjdę — świat roztrącić w dru-
zgi!«

— Idę, Panie — odrzekłem...

STARY BÓG.

1901.

Jak lew na starym świecie się położył,
okrył go piersią, w błękit dumną głowę
podniósł i czekał...
                                        Ponad nim się srożył
komet wir w węże splątany ogniowe,
a wyżej straszna ręka Przeznaczenia
wisiała.
                    Niegdyś na rozkaz tej Pani
on świat swój stworzył i skróś nocy cienia
rozpalił gwiazdy, pochodnie otchłani
złote. I rządził już miljon miljonów
wieków tym światem, bezlitośnie, srogo,
gasząc niesforne słońca śród zagonów
nieba i zniszczeń codziennych pożogą
twarz swą malując krwawo. Drżały światy,
gdy znak swój straszny na niebie zapalił
i szedł — bóg młody — w piorunów szkarłaty
odziany, sądził i jak orkan walił
krnąbrne w ton śmierci.
                                                I minęły wieki, —

świat się zestarzał i on wraz ze światem
starym się poczuł. Lat spienione rzeki
— krew w żyłach jego — wraz z źródłem bogatem
niegdyś, wysychać jęły i swe fale
coraz to wolniej toczyły, kaskadą
ołowiu w otchłań lecąc ociężale.
A on, samotny bóg nad gwiazd plejadą,
wrogi współbogom, co na złote trony
wstąpili wczoraj, — władzą stuwiekową
dumny, w gasnących blaskach swej korony,
z senną, na piersi pochyloną głową
patrzył na gwiazdy, leniwym obrotem
wystygłe ciała kręcące w przestrzeni
i słońc ostatnich malowane złotem
ziemie, odarte z kwiatów i zieleni —
i dumał.

Wieki płynęły. I zda się —
każdy wiek węzłem był, co niebios pana
łączył ze światem... Gwiazdy zgasłe w czasie
w pamięci jego wschodziły; co rana
słońca trup czarny świecił w jego duchu
dawnym płomieniem i gwiaździste kręgi
grały pieśń życia, harmonji i ruchu,
pieśń jego chwały, szczęścia i potęgi,
przebrzmiałą dawno. — Świat, co niegdyś z trwogi
przed nim drżał, teraz w godzinie dosytu

stał mu się blizki i jak dziecię drogi.
Wieki mijały.
Nagle skróś błękitu
zagrzmiał piorunny głos wszechwładnej Pani:
»Stary włodarzu! zdaj liczbę z powodzi
wieków i zamknij już księgę! W otchłani
nowe są światy i bogowie młodzi
na twoje miejsce! — Zniszcz swój światek mały
i ustąp z drogi!«
Drgnął bóg stary: Ona!
to Jej grzmot mówi! — Słońca się zachwiały
i drży w posadach przestrzeń niezmierzona:
nadeszła chwila! — Czekał jej tak długo,
że już zapomniał, iż przyjść musi — groźna,
nieubłagana. Uczuł, że jest sługą,
nie panem. Odtąd będzie pustka mroźna
tu, gdzie on władał, który jutro — blady
cień boga — moc swą raz ostatni jeszcze
dziś wysiliwszy w tem dziele zagłady,
pójdzie w wieczności noc błądzić, gdzie deszcze
zgasłych gwiazd płaczą...
Ale któż się zdoła
oprzeć Jej woli? — Z drogi, stary boże! —
Wyciągnął rękę posłuszny i z czoła
zdjął grom ostatni...
Nie! on go nie może

rzucić na świat ten trupi, na swe dziecię,
jego staremu tak dziś drogie sercu! —
Nie! on tych zwiędłych kwiatów gwiazd nie zgniecie,
na tym wybladłych błękitów kobiercu
szytym słońc złotem — nie wyryje gromem
słowa nicości!
A jeśli do szczętu
zgasła moc jego, który słońc ogromem
władał i z dzikich żywiołów zamętu
pieśń sobie stroił, — jeśli mimo dzielność
boską od zguby świata nie obroni, —
jeśli skazany jest na nieśmiertelność
bez słońc i złotej korony u skroni
królewskich: raczej niech Jej straszne ramię
świat druzgocące pośród gwiazd ogrojca
i jego, starca, razem z światem złamie
i unicestwi — jak Króla i Ojca
świata!
Jak lew się na świecie położył,
okrył go piersią, w błękit siwą głowę
podniósł i czekał...
Ponad nim się srożył
komet wir w węże splątany ogniowe,
a wyżej straszna ręka Przeznaczenia,
pełna piorunu, który niecierpliwy,
chwiał się, wisiała...

SĄ TAJEMNICE...

1897.

Są tajemnice, których myśl ludzka nie zgłębi,
są przepaście ziejące, otchłanne bezedna,
gdzie wszech rzeczy chaosu wieczna noc się kłębi —
koniecznością dysząca, głucha i bezwiedna.

Są przepaście ziejące, otchłanne bezedna,
nad któremi myśl ludzka jak ptaszę zawisa,
koniecznością pędzona i nawpół bezwiedna,
zakochana w straszliwej grozie państw Eblisa.

Nad otchłanią myśl ludzka jak ptaszę zawisa;
przestrach zionie z tajemnic rozwierzy, lecz ona,
zakochana w straszliwej grozie państw Eblisa,
oczu zamknąć nie może, chociaż patrząc — kona.

Przestrach zionie z tajemnic rozwierzy, lecz ona,
ta prawdy głodna dusza a nigdy nie syta,
oczu zamknąć nie może, chociaż patrząc — kona,
i wie, że słów chaosu tajnych nie odczyta.

Prawdy głodna wciąż dusza, a nigdy nie syta,
w niewymownych boleściach pierś rozkrwawia
własną,
bo wie, że słów chaosu tajnych nie odczyta,
nie dojrzy dna, choć oczy jej powierzchnię drasną.

W niewymownych boleściach pierś targając własną,
z rozczarowań i zwątpień przechodzi w nadzieję,
że dojrzy dno, gdy oczy jej powierzchnię drasną —
i znów próby powtarza — a fatum się śmieje.

Z rozczarowań i zwątpień przechodząc w nadzieje,
z kornych modlitw do bluźnierstw i z szyderstw
do wiary,
ciągle próby powtarza — a fatum się śmieje.
mściwą ręką w pył waląc szalone Ikary.

Korne modły, bluźnierstwa i wyznania wiary
ślą do nieba naprzemian wieczne prawdy głodne,
mściwą ręką strącane szalone Ikary —
a otchłań ciągle czarna, niebo wciąż pogodne.

I do nieba naprzemian wiecznie prawdy głodne,
i do piekła szturmują klątwą ziemi syny,
lecz otchłań ciągle czarna, niebo wciąż pogodne,
i wciąż szarpie ból duchem przykutym do gliny.

I do piekła szturmują klątwą ziemi syny;
lecz modlitwom i klątwom nikt nie odpowiada,
a wciąż szarpie ból duchem przykutym do gliny
i wciąż nęci tajemnych głębin otchłań blada.

I modlitwom i klątwom nikt nie odpowiada —
aż, do kogo się modlić, kogo kląć — człek nie wie:
wciąż go nęci tajemnych głębin otchłań blada,
więc klnie otchłań i własnych pragnień swych za-
rzewie.

Do kogo ma się modlić, kogo kląć — człek nie wie,
więc z rozpaczy klnie życie, co w cieniach się toczy,
tajemnice i własnych pragnień swych zarzewie,
i śmierć, co zdala wlepia weń zimne swe oczy.

Człek w rozpaczy klnie życie co w cieniach się toczy,
że w nim myśli roznieca, i — że myśli zgnębi —
klnie śmierć, co ciągle bliższa wlepia weń swe oczy.
Są tajemnice, których myśl ludzka nie zgłębi.

TRZY RONDA.

1896.

JESTEM ZMĘCZONY.

Jestem zmęczony i łzy z ócz mych biegą
na zwiędłe marzeń mych przedwcześnie kwiecie,
na suche pączki liści, które zmiecie
wicher, nim słońce na niebie dostrzegą,
nim się rozwiną, nim zapachną w lecie...

Nic nie zdziałałem do dziś dnia na świecie,
skargę jedynie słałem na wsze strony, —
nie pracowałem nawet nic — a przecie
jestem zmęczony...

Bezsilność całą treścią życia mego, —
płaczę w ciemności, jak lękliwe dziecię
a płacz to marny, bezradny i płony,
który przynosi wstyd nawet kobiecie...
Brak mi sił, mocy — i nie wiem dlaczego
jestem zmęczony. —

CHCIAŁBYM BYĆ SZCZERY...

Chciałbym być szczery bodaj jednę chwilę,
chciałbym odrzucić maskę ze swej twarzy,
co, jak koszula Dejaniry, parzy
me krwawe czoło przez lat długich tyle
w samotnej celi i u stóp ołtarzy

Myśl moja kłamie, język kłamie wraży,
i słowa kłamią, i w słowach litery —
dość już! ach! dość już tych kłamnych miraży,
chciałbym być szczery...

Więc wszystkie moce swej duszy wysilę,
by kłamstwa, które na słów stoją straży,
jak grzeszne, nędzne, lubieżne hetery,
zdeptać, — a może prawda się odważy
z poczwarki skrzydła rozwinąć motyle.
Chciałbym być szczery.

WE WŁASNEM ŁONIE...

We własnem łonie człowiek każdy chowa
zagadkę szczęścia, tak jak krzemień szary
ma iskrę w sobie. By wzniecić pożary,
dość stali krzepkiej, która w kamień kowa
i — gryząc — świetlne wydobywa dary.

Lecz ludzie wolą, jak nowe Ikary,
na kruchych skrzydłach latać, kędy płonie
skra błędnych ogni, niźli czerpać z czary
we własnem łonie.

Albo do Boga mówią: »o, Jehowa!
Ty, co wszystkiemi zarządzasz obszary,
daj-że nam szczęścia!« — i złożywszy dłonie
próżno czekają spełnienia swej wiary —
podczas gdy szczęście śpi, jak skra ogniowa,
w ich własnem łonie.

Z POEZYJ FRYDERYKA NIETZSCHEGO.

1903.

ECCE HOMO.

Wiem, zaiste, skąd pochodzę,
co w niesytej wciąż pożodze
płonę, żrę się sam, jak skra.
Światło wszędzie, gdzie się zwrócę,
węgiel wszystko, co porzucę:
tak! płomieniem jestem ja!

MĘDRZEC MÓWI:

Tłumom potrzebny, choć gardzący tłumem,
płynę — to blaskiem słońc, to burzy szumem,
a zawsze — górą nad tym tłumem.

MOJA SROGOŚĆ.

Sto szczebli wzwyż przejść trzeba mi,
a za mną skarga wasza brzmi:
»Tyś srogi! sądzisz, żeśmy głaz?«
Sto szczebli wzwyż przejść trzeba mi,
a szczeblem być nikt nie chce z was!

ASCETA.

Wiele ronię, miotam precz,
a wy zwiecie mnie — — ascetą?!
— Z czar przepełnych pijąc ciecz,
wiele ronię, miotam precz, —
nie mniej cenię wino przeto!

MOJE SZCZĘŚCIE.

Odkąd szukanie mnie znużyło
nauczyłem się — znajdować;
odkąd mi wiatr się oparł siłą,
z wszystkiemi wichry żeglować! —

PRZY TRZECIEM LENIENIU.

Już nową skórą grzbiet swój zdobię,
a łaknie we mnie wciąż,
choć tyle ziemi strawił w sobie,
znów ziemi żądny wąż.

Zgłodniały, między zeschłą trawą
na kręty idę ślad,
by jeść cię, ziemio, wężów strawo,
jakom cię dotąd jadł!

BEZ ZAWIŚCI.

Że bez zawiści — wy go czcicie za to?
Czyż się ogląda on za czci zapłatą?
Orzeł, nawykły do podniebnej jazdy,
was on nie widzi, jeno gwiazdy, gwiazdy!...

DĄB MÓWI:

Zbyt w górę wzrosłem i zbyt sam —
i czekam..., na cóż czekać mam?

Zbyt blizkie jest mi gniazdo burz:
na pierwszy grom więc czekam już.

RAZ NA ZAWSZE.

»Przychodzę dziś, bo dziś mi się podoba!«
mówi, kto raz na zawsze przychodzi.
I cóż mu świata gadanie szkodzi:
»Za wcześnieś przyszedł!« lub: »Zbyt późna
doba!« —?

KTO ZECHCE....

Kto zechce z czasem słowa siać,
wpierw ciszą musi żyć;
kto błyskawicą chce się stać,
wpierw musi — chmurą być!

ŚMIAŁO!

Tam, gdzie stoisz, w głąb się wkop:
znajdziesz źródło snadnie,
chociaż ciemny krzyczy chłop:
Piekło jest tam na dnie!

NIEWOLNY.

Cóż go zmieszało? Przystanął i słucha;
jakież to dźwięki wpadły mu do ucha
i z lica strachem spędziły rumieniec?
— Ha! on posłyszał to, co były jeniec
wiecznie za sobą słyszy: brzęk łańcucha...!

VADEMECUM — VADETECUM.

Ty radbyś mieć mnie swoim wzorem
i za mną iśćby ci się chciało?
Postępuj tylko własnym torem,
a pójdziesz za mną! Śmiało, śmiało!

»MĄDROŚĆ ŻYCIOWA«.

Nie pozostaj w dołach rad
i nie wspinaj się nad chmury;
najpiękniejszy — wierz mi — świat
tak... z połowy góry.

ROZMOWA.

— Byłem chory? dziś już zdrów?
kto lekarzem był mi, mów!
Wszystko mi wypadło z głowy...
— Dziś dopiero wiem, żeś zdrowy, —
zapomina tylko zdrów!

MĄŻ I NIEWIASTA.

»Bierz przemocą kobietę, gdy ci w serce wpadnie!«
Tak myśli mąż. Niewiasta nie bierze, lecz kradnie.

STRACONA GŁOWA.

Ona ma rozum! — Skąd go ma ta pani?
Mężczyzna niegdyś stracił głowę dla niej;
mózg jego pono miał wielkie zalety, —
poszedł do licha! — nie, nie! — do kobiety!

SĄDY ZNUŻONYCH.

Znużeni klną słoneczny dzień;
wartością drzew jest im ich — cień!

W LECIE.

W znojnym pocie naszych lic
Bóg nam chleb jeść każe?
W pocie lepiej nie jeść nic,
mówią nam lekarze. —

Patrzy słońce, boski widz,
z drwiącą na nas miną:
W znojnym pocie waszych lic
pijcie raczej wino!

RADA.

Sława twym celem? na jawie i we śnie?
Goń ją, lecz wierzaj mi,
by ją osiągnąć, pozbądź się wcześnie
marzeń o — czci!

MORAŁ GWIAZD.

Cóż tobie, gwiazdo, cienie? — wszak
ty płynąć masz przez gwiezdny szlak!

Szczęśliwa tocz się przez ten Czas,
obca dla jego nędz i zmaz!

Najdalszym światom blask twój! — leć!
i litość odrzuć precz, jak śniedź!

A jeno: czysta bądź i — świeć!

WĘDROWIEC.

»Bezdroże! Przepaść w krąg i głuche pola!«
Tak chciałeś! Z ścieżki zwiodła cię twa wola!
Śmiało i bystro trzeba patrzyć ninie;
w niebezpieczeństwo kto uwierzy — zginie.

NA NOWE MORZA.

Tam — chcę! Sterem władną dłoń
nęci mórz otwarta toń:
w dal już płynie siną szparka
genueńska moja barka.

Wszystko nowych pełne kras,
drzemią w skwarze Przestrzeń, Czas;
jeno oko twe — w snu włości —
czuwa wciąż, Nieskończoności!

SZCZĘŚCIE, CENNY ŁUPIE...

Szczęście! cenny łupie, stój!
Zawsze blizko, nigdy tuż,
zawsze wkrótce, nigdy już: —
czy-ć za młody łowca twój?

»PODRÓŻNY I JEGO CIEŃ«.

Ni naprzód tedy? ani w zad?
tu kozic nawet ginie ślad?

Więc czekam; co się ująć da,
to chwyta wzrok i ręka ma.

Poranna zorza, wązka perć, —
pode mną: Ziemia, Człowiek, Śmierć.

NOWY KOLUMB.

Luba! — Kolumb rzecze, — wiary
nie wart genueński mąż!
Zbyt go nęcą mórz obszary,
w dale jeno patrzy wciąż! —

Brzeg nieznany myśl ma goni:
w mgłach już kraj mój, — rwie mnie prąd;
— cicho, serce! śmiało, dłoni! —
morze w krąg — a ląd? — a ląd?...

Nie drgnie stopa w pokład wryta:
nigdy nazad! — to nasz ślub!
Patrz! tam zdali już nas wita
nasze Szczęście — Sława — Grób!

PIJANA PIEŚŃ.

O człecze! słysz!
co mówi Północ z głębi cisz:
»Sen na mnie spadł,
lecz otom się zbudziła zeń:
— głęboki świat
i głębszy, niźli myślał dzień!
Ból — głębią on,
lecz głębsza jeszcze rozkosz snadź;
ból mówi: Zgon! —
lecz rozkosz chce na wieczność trwać,
— po wszystką, wszystką wieczność trwać!—«

POŚRÓD WROGÓW.

(Według znanego przysłowia cyganów).

Szubienica tam i sznury,
tutaj stoi rudy kat,
tłum dokoła zły, ponury —?
znam to! znam to z dawnych lat!
Stokroć szedłem przez te ciemnie;
w twarz wam rzucam słowa te:
Mnie powiesić? to daremnie!
ja nie mogę umrzeć! nie!

Nędzni! zazdrość niech was tłoczy, —
mam, co próżno wam by chcieć:
wprawdzie krwią me serce broczy;
lecz wy — wy musicie mrzeć!
Stokroć śmierci przejdę ciemnie,
trwając w wietrze, w świetle, w mgle:
mnie powiesić to daremnie!
ja nie mogę umrzeć, nie!

»PRAWA«.

Od dziś cię wieszam, mój piękny zegarku,
na mocnej nitce u mojego karku;
bieg gwiazd na niebie od dziś mi ustanie,
słońce, cień, księżyc i koguta pianie;
wszystko, co czas mi obwieszczało ruchem,
będzie mi odtąd i niemem i głuchem;
zamilknąć musi mi przyroda stara
wobec tykania prawa i zegara!

O FALE...!

O, fale! przedziwne fale!
szumicie tak gniewnie, —
przeciwko mnie się burzycie?
Oto swem wiosłem uderzam
łby wasze nierozumne:
to czółno
wy zaniesiecie same do Nieśmiertelności!

PRAWDA.

Prawda —
kobieta, nic więcej!
Nieszczery jest jej wstyd:
nie chce się przyznać do tego,
co miećby chciała najbardziej;
palcami oczy zakrywa...
Czemu się podda? — tylko przemocy!
Użyjcie zatem przemocy!
srodzy mi bądźcie, najmędrsi!
Pogwałcić ją trzeba,
— wstydliwą Prawdę!
Do szczęścia swego
potrzebuje przymusu,
— bo jest kobietą, nic więcej!

ZAPOMNIENIE.

Rzucaj w otchłań to, co-ć ciąży!
Zapominaj, człecze, zapominaj!
boska zapomnienia sztuka!
Chcesz ulecieć,
na błękitach mieszkać chcesz:
co najcięższe — w morze rzuć!
Tu jest morze: rzuć więc siebie!
— boska zapomnienia sztuka!

»NAJSAMOTNIEJSZY«.

Teraz, gdy dzień
swym dniem się znużył, tęsknot wszystkich źródła
pociechę nową szmerem głoszą,
i nieba w złotych całe pajęczynach
znużonym wszystkim mówią: — Spocznij! —
Ach! czemuż, ciemne serce moje,
miast spocząć, w drogę znów się zrywasz, krwawe?

SŁOŃCE ZACHODZI...

I.

Nie długo pragnąć ci już,
o serce me!
Obietnic pełen jest wiew,
co z ust nieznanych skądś dolata mnie:
— nadchodzi wielki chłód....

Moje słońce paliło mi głowę w południe:
dzięki wam, iż przychodzicie,
o, wichry wy nagłe,
o, chłodne duchy odwieczerza!

W powietrzu świeży dreszcz...
Czyż nie pogląda
uwodzicielka
noc w moje oczy?...
Bądź silne, me dzielne serce,
nie pytaj: Przecz?

11.

Dniu mego życia!
zachodzi słońce.
Lustrzana toń się
już wyzłaca —
i ciepłem tchnie głaz —
tu snadź w południe
spoczęło szczęście na krótki sen?
W zielonych błyskach
gra szczęściem jeszcze przepaści tej głąb.

Dniu mego życia!
zapada wieczór!
Twe oko płonie
już i zgasa,
już lecą twych ros
rzęsiste płacze,
już spływa cicho na białe morza
twej miłości purpura,
twa ostatnia, nierychła szczęśliwość.

III.

Złota pogodo ma, przyjdź!
ty, coś śmierci
przedsmakiem najsłodszym, tajemnym!
— Czyż bym za szybko miał biec?
Dziś dopiero, gdym znużon już,
ócz twych wzrok mnie dogania,
szczęście twe mnie dogania.

Wokół igraszka li fal.
Dawne trudy
padają w błękitną niepamięć,
leniwie stoi ma łódź.
Dróg burzliwych rzuciłem szlak,
tonie żądza, nadzieja —
cisza w duszy, na morzu.

O, siódma samotności!
Ni mi kiedy
była tak blizka słodka ufność,

ni blask słońca tak żarki.
— Nie płoniż się jeszcze mych szczytów lód?
Srebrne, lekkie jak ryba,
wypływa teraz me czółno...

TATRY W MGŁACH.

1895.

Ku niewidnemu w chmurach krok zwracając słońcu
szliśmy przez skał bezdroża, granitów manowce —
przewodnik, mój towarzysz, trzeci ja — na końcu.

Szałas pośród olbrzymich głazów, co jak owce
leniwe — skał ponurych obsiadły podnóże,
malał, topniał i zniknął skryty w mgieł pokrowce.

A my, jak potępieńcy, w gęstej brodząc chmurze,
szliśmy, chyżo z granitów skacząc na granity,
przez złomy skał, nad wody czarne — wciąż ku górze.

Czasem we mgle nad nami majaczyły szczyty,
niby światy nad głową tuż, zda się, zwieszone,
tam, gdzie zwykle wzrokowi jawią się błękity.

Czasem wody odbiciem gór ciemne, zmącone
deszczem, jakby olbrzymie gorzkich łez jeziora
nagle rosły i nikły w dole zostawione.

Oto weszliśmy w paszczę skalnego potwora
i wspinamy się w górę nad turnie i piargi;
śmierć nas wiedzie, — ląd zniknął w morzu chmur,
jak zmora.

I przestrachem nam nieraz zbladłe drgnęły wargi,
gdy trącony głaz zagrzmiał i czarną gardzielą
deszcz kamienny się rzucił z wielkiem echem skargi.

A mgły coraz gęściejsze pod nami się ścielą;
na złomie głazu, zda się, w otchłanie wszechświata
płyniem nad przedstworzenną mgławych wód to-
pielą.

Wszystko sen był. Ta ziemia barwna i bogata,
słońce, zieleń i ludzie — wszystko sen był marny
i ułudny. Nic niema, jeno mgła skrzydlata.

Bóg-Stworzyciel przyszłemi słońcami ciężarny
zasnął wczoraj —, sen Jego światem był. Na nowo
dziś się zbudził, sen-wszechświat w dym się rozwiał
parny...

Szedłem, myśląc tak. Nagle tuż nad moją głową
grzmot zaryczał i głuche ze skał wyrwał dreszcze,
po niebiosach śmignąwszy wstęgą purpurową.

I na dany znak chmury zlewające deszcze
rozstąpiły się w górze — a promień słoneczny
padł na głazy przed nami, dżdżem ociekłe jeszcze.

Spojrzałem. Tam, gdzie opar rozwieszał się mleczny,
błękit był — ponad szczytem! Jeszcze krok, — pół
kroku:
i na szczycie stoimy w otchłani powietrznej!

Pan Bóg podniósł kurtynę. W skłębionym potoku
wicher chmury w dal pędzi; pod tęczową bramą
świat wyłania się z zasłon zdumionemu oku.

Blaski słońca się kładą złotolitą lamą
po srebrno-szarych szczytach, błękitnych odda-
lach —
i w perłach stawów grają świetlnych tonów gamą.

Na ostatnich wełnistych mgły ruchliwej falach
olśniewająca biel się lazurom odśmiecha —
i przepada rozwiana po słonecznych halach.

Tatr kamienna pierś ciszą bajeczną oddecha
i skrzy się w słońcu naga, zimna. — Gdzieś przez
turnie
płyną Nieskończoności zamyślone echa.

A tam w dole, w kotliny przepaścistej urnie,
jak gdyby dym ofiarny, co w niebo ucieka,
mgła skłębiła się znowu, Tatry ćmiąc powtórnie.

Pereł-stawów sznur zgasł już... Oceanem mleka
mgła na doły się leje... Wznosi się, wydyma...
regli sięga — — Stanęła bez ruchu i czeka...

Morze zewsząd! A z morza strasznemi oczyma
patrzy na nas cierpliwa kochanka otchłani:
Śmierć — i łono swe chłodne w pogotowiu trzyma...

Na skalnym zrębie w blaskach słonecznych skąpani
słyszeliśmy krok cichy tej tajemnej mary,
co się ku nam skradała w mgle, jak żbik, po grani.

Obłok wlókł się jej śladem, jak rąbek symary,
darł się o skały, czepiał kosówek gałęzi
i wiał z podmuchem wiatru nad przepastne jary —.

I szedł opar białawy z pomroczej cięgzi
ku niebu, strojąc słońce w różnobarwne nimby,
co drżało, jak sylf złoty w pajęczej uwięzi,

w głąb się nieb przed tumanem mgieł chcąc cofnąć,
nim-by
na nie straszne swe skręty zarzucił polipie,
co objęły już w uścisk swój skały i limby.

I tak drżące się płoni i opale sypie
świetnym gradem na zimne, martwe głazów stoki,
snując przędzę złocistą po mgłach, mchu i skrzypie.

Oto wicher się zerwał i ponad obłoki,
nad chmur morze jął pędzić nasz ostrów z granitu,
jak łódź lekką, co pianą ma zbryzgane boki...

I znów płyniem po morzu mgieł — w otchłań
błękitu.

ERRATA:

Str. 171 wiersz 3 zamiast: *siebie samego* ma być: i siebie samego

TREŚĆ TOMU TRZECIEGO.

Str.